

OFIARA BRONI

KSIĘGA 8 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA

MORGAN RICE



Morgan Rice

Ofiara Broni

Серия «Кругу Czarnoksiężnika», книга 8

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696239
OFIARA BRONI KSIĘGA 8 KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA:
ISBN 9781632914088*

Аннотация

W OFIERZE BRONI (Księga 8 Kręgu Czarnoksiężnika) Thor uwięziony jest między potężnymi mocami dobra i zła, gdy Andronicus i Rafi używają wszelkiej czarnej magii, jaką dysponują, by podjąć próbę zmiążdżenia jego tożsamości i przejęcia władzy nad jego duszą. Pod ich zaklęciem Thor będzie musiał stoczyć walkę, jakiej jeszcze nigdy nie odbył, by spróbować wydostać się spod wpływu swego ojca i uwolnić się. Na to może być już jednak za późno. Gwendolyn wraz z Alistair, Steffenem i Abertholem zapuszcza się na wyprawę głęboko w Nibyświat, by odnaleźć Argona i uwolnić go z jego magicznego więzienia. Jest to jej ostatnia nadzieja na ocalenie Thora i Kręgu, lecz Nibyświat jest rozległy i zdradziecki i nawet samo odszukanie Argona może okazać się jedynie nieziszczonym snem. Reece przewodzi legionistom w niemal niemożliwej wyprawie, podczas której porwą się na coś, czego nikt przed nimi nie uczynił: zjedną w otchłań Kanionu, by odszukać i odzyskać utracony Miecz. Wkroczą do zupełnie innego świata, w którym roi się od potworów

i egzotycznych ras – a wszyscy oni chcą zatrzymać Miecz przy sobie dla swych własnych celów. Romulus, uzbrojony w magiczną pelerynę, wciela w życie swój złowieszczy plan, by wkroczyć do Kręgu i zniszczyć Tarczę; Kendrick, Erec, Bronson i Godfrey walczą, by pokonać zdrajcę; Tirus i Luanda przekonują się, co znaczy być zdrajcami i służyć Andronicusowi; Mycoples próbuje wydostać się na wolność; a w ostatecznym, zaskakującym zwrocie akcji sekret Alistair zostaje w końcu ujawniony. Czy Thor stanie się na powrót sobą? Czy Gwendolyn odnajdzie Argona? Czy Reece odnajdzie Miecz? Czy plan Romulusa się powiedzie? Czy Kendrick, Erec, Bronson i Godfrey zwyciężą mimo niesprzyjających okoliczności? I czy Mycoples powróci? Czy też Krąg zostanie całkowicie i ostatecznie zniszczony? Odnaczająca się wyszukaną inscenizacją i charakteryzacją SZARŻA WALECZNYCH to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, rywalach i zalotnikach, rycerzach i smokach, intrygach i politycznych machinacjach, o dorastaniu, o złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To opowieść o honorze i odwadze, losie i przeznaczeniu, o magii. To fantazja wciągająca nas w świat, którego nigdy nie zapomnimy i który przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci.

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	15
ROZDZIAŁ DRUGI	24
ROZDZIAŁ TRZECI	34
ROZDZIAŁ CZWARTY	39
ROZDZIAŁ PIĄTY	49
ROZDZIAŁ SZÓSTY	53
ROZDZIAŁ SIÓDMY	57
ROZDZIAŁ ÓSMY	62
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	71
Конец ознакомительного фрагмента.	78

Morgan Rice

OFIARA BRONI

KSIĘGA 8 KRĘGU

CZARNOKSIEŻNIKA

O autorce

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z dwóch części (kolejne w trakcie pisania). Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty,

darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

„KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej bibliotece.”

– *Books and Movies Reviews*, Roberto Mattos

“Świat wykreowany przez Rice wciąga od pierwszych stron. Autorka opisuje go w niezwykle barwny sposób, który wykracza poza zwykły opis scenerii... Dobrze napisana książka, którą czyta się w mgnieniu oka.”

– *Black Lagoon Reviews* (w odniesieniu do *Turned*)

„Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice dobrze się spisała, wprowadzając nieoczekiwany zwrot wydarzeń... Ożywcza i jedyna w swoim rodzaju. Cykl opowiada o jednej dziewczynie... wyjątkowej dziewczynie! Łatwo się czyta, a akcja biegnie niezwykle szybko... Zalecana kontrola

rodzicielska.”

– The Romance Reviews (w odniesieniu do *Turned*)

“Przykuwa uwagę od pierwszych stron. Nie będziesz mógł się od niej oderwać... Ta historia to fantastyczna przygoda, przepełniona akcją od samego początku. Nie ma w niej ani jednego nudnego momentu.”

– Paranormal Romance Guild (w odniesieniu do *Turned*)

“Przepełniona do granic możliwości akcją, romansem, przygodą i napięciem. Weź ją do ręki i zakochaj się od nowa.”

– vampirebooksite.com (w odniesieniu do *Turned*)

„Książka o fantastycznej fabule, którą trudno będzie ci odłożyć w nocy. Kończy się w tak nieoczekiwanym i spektakularnym momencie, że natychmiast nabierzesz ochoty, by kupić kolejną część i przekonać się, co będzie dalej.”

– The Dallas Examiner (w odniesieniu do *Loved*)

“Rywal ZMIERZCHU i PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW, od którego nie będziesz mógł się oderwać aż do ostatniej strony! Jeśli jesteś fanem przygody, romansu i wampirów, to książka właśnie dla ciebie!”

– vampirebooksite.com (w odniesieniu do *Turned*)

„Morgan Rice po raz kolejny udowadnia, że potrafi w

niezwykły sposób snuć opowieści... Książka przemówi do szerokiego grona odbiorców, w tym do młodych fanów gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się w takim momencie, że otworzysz oczy szeroko ze zdumienia.”

– The Romance Reviews (w odniesieniu do *Loved*)

Autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ 1)

POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ 2)

KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING

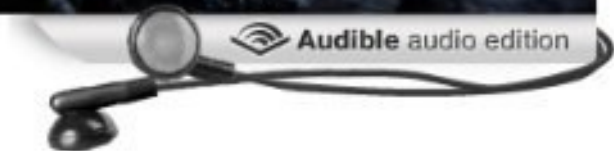


THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





**Posłuchaj książek z cyklu KRAĞ
CZARNOKSIĘŻNIKA w formie audiobooka!**

*Honor mój i życie splecione są w jedno,
Honor mi zabierz, a życia pozbawisz.*

William Shakespeare
Ryszard II

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gwendolyn, chłostana mroźnymi podmuchami wiatru, skuliła się, stojąc nad krawędzią Kanionu. Postawiła pierwszy krok na łukowatym moście, rozchwierutany i skutym lodem, który rozpięty był nad Północnym Przejściem. Składał się z przetartego sznura i desek i zdawało się niemożliwym, by mógł ich utrzymać. Stawiając pierwszy krok, Gwen wzdrygnęła się.

Poślizgnęła się, wyciągnęła rękę i chwyciła poręcz, która zakołysała się, nie dając jej oparcia. Gwen ulękła się na myśl, iż ten lichy most jest jedyną drogą, którą mogą dostać się na północną stronę Kanionu, do Nibyświata, gdzie znajdował się Argon. Podniosła wzrok i ujrzała w oddali wabiący ją Nibyświat, ścianę oślepiająco białego śniegu. Przejście zdało jej się nawet bardziej złowieszcze.

Nagły podmuch wiatru zakołysał liną tak gwałtownie, iż Gwendolyn schwyciła się poręczy obojgiem rąk i przyklękła. Przez chwilę nie wiedziała nawet, czy zdoła się utrzymać na moście – a coś dopiero go przekroczyć. Dotarło do niej, iż było to znacznie bardziej niebezpieczne, niż uprzednio sądziła, i podejmując tę próbę, każde z nich stawiało na szali swe życie.

– Pani? – dobiegł ją głos.

Gwen odwróciła się przez ramię i ujrzała stojącego kilka stóp dalej Aberthola, a obok niego Steffena, Alistair i Krohna, czekających, by podążyć za nią. Tworzyli przedziwną grupę,

która znalazła się na krańcu świata, stając przed niepewną przyszłością i – najpewniej – śmiercią.

– Czy w istocie musimy obierać tę drogę? – spytał Aberthol.

Gwendolyn odwróciła się i spojrzała przed siebie, na miotane wichrem płatki śniegu, i zadrżawszy z zimna, otuliła się ciaśniej futrem. W głębi duszy nie chciała przekraczać tego mostu, ani na krztynę nie chciała odbywać tej wyprawy. Wolałaby miast tego skryć się bezpiecznie w swym domu ojcowskim, w Królewskim Dworze, usiąść za jego murami i rozgrzać się przed ogniem, i nie zmagać się z żadnym z niebezpieczeństw i trosk świata, które stały się jej udziałem, odkąd została królową.

Lecz tak – co zrozumiałe – postąpić nie mogła. Królewski Dwór przestał istnieć, a jej dzieciństwo dobiegło końca. Była teraz królową. Musiała mieć na uwadze swe nienarodzone dziecko i przyszłego męża, który był gdzieś daleko. Oni jej potrzebowali. Dla Thorgrina weszłaby w ogień, gdyby zaistniała taka konieczność. Gwen była przekonana, iż w istocie jest to konieczne. Wszyscy potrzebowali Argona – nie tylko ona i Thor, lecz cały Krąg. Czekало ich starcie nie tylko z Andronicusem, lecz także z magią tak potężną, iż zdołała złapać w swe sidła Thora. Gwen nie miała pojęcia, jak bez Argona mieliby stanąć z nią do walki.

– Owszem – odparła. – Musimy.

Gwendolyn gotowała się do postawienia kolejnego kroku, lecz tym razem Steffen pospieszył naprzód, zastępując jej drogę.

– Pozwól, pani, że to ja pójdę pierwszy – rzekł. – Nie wiemy,

jakie okropności czekają na nas na tym moście.

Gwendolyn poruszyła ta propozycja, lecz wyciągnęła dłoń i delikatnie odsunęła Steffena.

– Nie – rzekła. – Ja pójdę pierwsza.

Nie zwlekając, postąpiła naprzód, schwyciwszy się mocno linowej poręczy.

Dała kolejny krok. Poczuła pod palcami mroźność i zaskoczyło ją to, jak lód wgryzał się w jej ciało, jak chłód przenikał jej dłonie i wdzierał się dalej, aż do ramion. Oddychała szybko, niepewna, czy zdoła się choćby utrzymać.

Nadszedł kolejny podmuch wiatru i rozkołysał most. Chybotał się teraz z prawa na lewo i z lewa na prawo, zmuszając ją, by zacieśniła dłonie na poręczy, by znosiła ból, jaki niósł ze sobą lód. Z całych sił starała się nie stracić równowagi, gdy stopy ślizgały się jej po pokrytej lodem linie i deskach. Most przechylił się raptownie na lewo i przez chwilę była przekonana, iż ześlizgnie się na bok. Most jednakże naprostował się i zakołysał w przeciwnym kierunku.

Gwen ponownie przyklękła. Przeszła ledwie dziesięć stóp, a serce łomotało jej tak mocno, iż niemal nie była w stanie oddychać, i ręce zeszywniały tak bardzo, iż prawie wcale ich nie czuła.

Przymknęła powieki i głęboko wciągnęła powietrze. Myślą wróciła do Thora. Przywołała w wyobraźni jego twarz, każdy jej szczegół. Skupiła się na swej miłości do niego. Swym upartym dążeniu, by go oswobodzić. Bez względu na to, co będzie musiała

uczynić.

Bez względu na to, co będzie musiała uczynić.

Gwendolyn otworzyła oczy i zmusiła się, by postąpić kilka kroków naprzód, trzymając się kurczowo poręczy. Tym razem, nie zważając na nic, nie zamierzała się zatrzymać. Wiatr i śnieg mogły pchnąć ją w otchłań Kanionu. Nie dbała już o to. Nie chodziło już o nią – chodziło o miłość jej życia. Dla Thora była w stanie porwać się na wszystko.

Gwendolyn poczuła, jak most się kołysze i spojrzawszy przez ramię, ujrzała, iż podążają za nią Steffen, Aberthol, Alistair i Krohn. Krohnowi ślizgały się łapy, lecz wyprzedzał pozostałych, aż znalazł się przy nodze Gwendolyn.

– Nie wiem, czy zdołam przejść – wykrzyknął Aberthol pełnym napięcia głosem po postawieniu kilku niepewnych kroków.

Słabowity starzec zatrzymał się, zacisnąwszy trzęsące się ręce na linie, ledwie będąc w stanie się utrzymać.

– Zdołasz – rzekła Alistair, podchodząc do niego i oplatając go w pasie jedną ręką. – Jestem tuż za tobą. Nie lękaj się.

Ruszyli naprzód, krok po kroku pokonując coraz dalszą odległość. Alistair pomagała Abertholowi.

Gwen po raz kolejny nie potrafiła się nadziwić sile Alistair w obliczu przeciwności losu, jej spokojnej naturze, odwadze. Emanowała z niej także moc, której Gwendolyn nie pojmowała. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego czuła się jej tak bliska, lecz w krótkim czasie, od kiedy się znały, Alistair stała się dla niej jak

siostra. Czerpała siłę z jej obecności. Oraz obecności Steffena.

Wicher ustał, ofiarowując chwilę ciszy, i zdwoili tempo. Niebawem minęli połowę mostu i poruszali się teraz szybciej. Gwen nawykła z wolna do śliskich desek. Druga strona Kanionu ukazała się ich oczom, ledwie pięćdziesiąt jardów przed nimi, i serce Gwendolyn wezbrało optymizmem. Może jednak im się uda.

Wicher dmuchnął po raz kolejny, tym razem silniej niż uprzednio – tak silnie, iż Gwen zmuszona była paść na kolana i obojgiem rąk schwycić się liny. Trzymała się z całych sił, gdy most nieomal obrócił się bokiem, po czym przechylił się równie gwałtownie w drugą stronę. Poczuła, jak deska pod jej stopą ustępuje i krzyknęła, gdy jej noga wpadła w otwór, gdzie utknęła aż po udo. Szarpała się, lecz nie potrafiła wydostać.

Gwendolyn odwróciła się i ujrzała, jak lina wyślizguje się z rąk Aberthola, a on puszcza Alistair i poczyną ześlizgiwać się z mostu. Alistair zareagowała natychmiast, wyciągając rękę i chwytając jego dłoń na ułamek sekundy przed tym, nim ześlizgnął się z krawędzi.

Alistair pochylała się nad krawędzią, trzymając kołyszącego się pod nią Aberthola. Nic nie oddzielało go od dna Kanionu. Alistair naprężyła mięśnie i Gwen modliła się, by lina nie ustąpiła. Czuła się bezsilna, utknąwszy między dwiema deskami. Jej serce biło jak oszalałe, gdy próbowała się wydostać.

Most kołysał się gwałtownie, a wraz z nim Alistair i Aberthol.
– Puść mnie! – krzyknął Aberthol. – Ocal siebie!

Laska Aberthola wysunęła się z jego dłoni i spadła, obracając się w powietrzu, w otchłań Kanionu. Teraz pozostał mu jedynie kostur przytroczony do pleców.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła Alistair ze spokojem.

Gwen zdumiała jej opanowanie i pewność.

– Spójrz mi w oczy – rzekła Alistair zdecydowanym głosem.

– Co takiego? – krzyknął Aberthol, usiłując przekrzyczeć wiatr.

– Spójrz mi w oczy – rozkazała Alistair, a w jej głosie rozbrzmiało jeszcze więcej siły.

W jej tonie było coś, co skłaniało ludzi, by usłuchali, i Aberthol podniósł na nią wzrok. Utkwił spojrzenie w jej oczach, a wtedy Gwendolyn ujrzała, iż z oczu Alistair promieniuje w kierunku Aberthola delikatne światło. Z niedowierzaniem przyglądała się, jak otula ono Aberthola, a Alistair odchyła się w tył i jednym ruchem wciąga go z powrotem na most.

Oszołomiony Aberthol leżał, dysząc ciężko. Obrzucił Alistair zdumionym spojrzeniem, po czym natychmiast odwrócił się i obojgiem rąk schwycił kurczowo linową poręcz, nim nadszedł kolejny podmuch wiatru.

– Pani! – krzyknął Steffen.

Przyklęknął przy niej, złapał ją pod ramiona i pociągnął z całej siły.

Gwen poczęła z wolna wydostawać się spomiędzy desek, lecz gdy była już bliska uwolnieniu się, wyslizgnęła się z chwytu jego skostniałych rąk i wpadła na powrót tam, gdzie wcześniej

utknęła, zapadając tym razem jeszcze głębiej. Nagle kolejna deska pod nią pękła i Gwen krzyknęła, czując, jak zaczyna się osuwać.

Wyciągnęła ręce i schwyciła się jedną dłonią liny, a drugą – ręki Steffena. Miała wrażenie, iż wyrwano jej ramiona ze stawów, gdy zawisała w powietrzu. Steffen także zwisał, przechylając się przez krawędź. Nogi oplótł za sobą, ryzykując swe życie, by zapobiec jej upadkowi. W górze utrzymywały ich tylko pękające liny.

Rozległo się warczenie i Krohn rzucił się naprzód. Zatopił kły w futrze okrycia Gwen i ciągnął z całych sił, warcząc i skomląc.

Powoli, cal za całem, wyciągnęli Gwen, aż dosięgła desek mostu. Podciągnęła się i legła twarzą w dół, wyczerpana, dysząc ciężko.

Krohn lizał ją po twarzy raz za razem, a ona chwyciła powietrze, niezwykle wdzięczna jemu i Steffenowi, który leżał teraz obok niej. Niewymownie radowało ją to, iż żyje, iż uniknęła tak potwornej śmierci.

Wtem nagle uszu Gwen dobiegł trzask i poczuła, jak cały most się trzęsie. Krew ścięła się jej w żyłach, gdy obejrzała się i ujrzała, że jedna z lin mocujących most do Kanionu pękła.

Most zachybotał się i Gwen ujrzała z przerażeniem, jak druga, wisząc na włosku, także pęka.

Z ich gardeł dobył się krzyk, gdy nagle jedna strona mostu odłączyła się od ściany Kanionu; most zakołysał nimi tak szybko, iż Gwen ledwie była w stanie oddychać, gdy z prędkością światła

zbliżali się ku drugiej ścianie Kanionu.

Gwen podniosła wzrok i ujrzała niewyraźnie zbliżającą się kamienną ścianę. Wiedziała, że w ciągu kilku chwil zabije ich siła uderzenia, zmiażdży ich ciała, a cokolwiek po nich pozostanie, poszybuję ku otchłanom ziemi.

– Skało, ustąp! NAKAZUJĘ CI! – rozległ się głos wypełniony pradawną, pierwotną władczością, głos jakiego Gwen dotąd nigdy nie słyszała.

Obejrzała się i ujrzała, jak Alistair zaciskając jedną dłoń na linie, drugą wyciąga przed siebie, skupiona bez cienia strachu na ścianie, w którą za chwilę uderzą. Z dłoni Alistair dobyło się żółte światło, gdy zbliżali się do ściany Kanionu. Gwen gotowała się na uderzenie. Ze zdumieniem patrzyła na to, co stało się później.

Na jej oczach lita skała przeistoczyła się w śnieg – gdy w niego uderzyli, Gwen nie poczuła, jak się spodziewała, by jej kości się łamały. Miast tego całe jej ciało zanurzyło się w miękkim, puszystym śniegu. Był mroźny i pokrył ją całkowicie, dostając się nawet do jej oczu, nosa i uszu – lecz nie wyrządził jej krzywdy.

Żyła.

Zwisali na linie zaczepionej o szczyt Kanionu, pogrążeni w ścianie śniegu. Gwendolyn poczuła mocny uścisk na nadgarstku. Alistair. Jej dłoń była zaskakująco ciepła mimo panującego wokół chłodu. Jakimś sposobem Alistair schwyciła także pozostałych i wkrótce wszyscy – także Krohn – zostali przez

nią wyciągnęci. Alistair wspinała się po linie, jak gdyby nie sprawiała jej to najmniejszego wysiłku.

W końcu dotarli na górę i Gwen osunęła się na ziemię po drugiej stronie Kanionu. Wtem pozostałe liny pękły i to, co jeszcze pozostało z mostu, poszybowało w dół, w mgłę, w głąb Kanionu.

Gwendolyn leżała, dysząc ciężko, niezwykle wdzięczna, że znalazła się na powrót na ziemi. Myślała o tym, co się stało. Ziemia była mroźna, pokryta lodem i śniegiem, lecz była to ziemia. Nie była już na moście i żyła. Udało im się. Dzięki Alistair.

Gwendolyn odwróciła się i spojrzała na Alistair z nowym zadziwieniem i szacunkiem. Była niewymownie wdzięczna, iż miała ją u swego boku. Czuła, że jest dla niej jak siostra, której nigdy nie miała, i Gwendolyn odnosiła wrażenie, iż widziała dopiero jedynie ułamek tego, co potrafi Alistair.

Gwen nie miała pojęcia, jak powrócą na główne ziemie Kręgu, gdy już skończą tutaj – *jeśli* kiedykolwiek skończą, jeśli odnajdą Argona i wrócą. Gdy patrzyła w olśniewająco białą ścianę śniegu przed nimi, wejście do Nibyświata, narastało w niej złe przeczucie, iż największe przeszkody dopiero przed nimi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Reece stał na Wschodnim Przejściu Kanionu, zaciskając dłonie na kamiennej balustradzie mostu i z przerażeniem spoglądając w przepaść. Ledwie był w stanie oddychać. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, czego właśnie był świadkiem: zatopiony w głazie Miecz Przeznaczenia zsunął się za krawędź i obracając się dokoła siebie, zniknął we mgle.

Reece czekał i czekał, spodziewając się usłyszeć huk, poczuć drżenie pod stopami. Lecz ku swemu zdumieniu, nic nie usłyszał. Czyżby Kanion w istocie nie miał dna? Czyżby pogłoski mówiły prawdę?

Reece puścił w końcu balustradę, którą trzymał tak mocno, że aż pobiegały mu kłykcie, wypuścił powietrze, które do tej pory wstrzymywał, odwrócił się i spojrzał na swych kompanów z Legionu. O'Connor, Elden, Conven, Indra, Serna i Krog – oni także patrzyli za Mieczem z przerażeniem w oczach. Wszyscy zastygli w miejscu. Żadne z nich nie było w stanie pojąć, co się stało. Miecz Przeznaczenia – legenda, przy której wszyscy wyrosli, najważniejszy oręż na świecie, własność królów. I ostatnia rzecz, która podtrzymywała Tarczę.

Wyślizgnął się im z rąk, runął w zapomnienie.

Reece czuł, iż poniósł porażkę. Czuł, iż zawiódł nie tylko Thora, lecz także cały Krąg. Gdyby tylko znaleźli się tam kilka minut wcześniej! Gdyby znalazł się kilka stóp bliżej, zdołałby go

ocalić.

Reece obrócił się i spojrzał na drugą stronę Kanionu, stronę Imperium, i zebrał się w sobie. Spodziewał się, iż skoro Miecz przepadł, Tarcza opadnie, spodziewał się, iż wszyscy zebrani po drugiej stronie żołnierze Imperium nagle puszcza się biegiem i wedrą do Kręgu. Lecz stało się coś ciekawego: Reece przyglądał się, ale żaden z nich nie wszedł na most. Jeden z nich podjął próbę i zginął.

Jakimś sposobem Tarcza nie opadła. Reece nie pojmował.

– Jak to możliwe? – rzekł do pozostałych. – Miecz zniknął z Kręgu. Jakim sposobem Tarcza nie opadła?

– Miecz nie zniknął z Kręgu – zasugerował O'Connor. – Nie znalazł się jeszcze poza nim. Spadł prosto w dół. Znalazł się pomiędzy dwoma światami.

– Co zatem stanie się z Tarczą, skoro Miecz nie jest ani tu, ani tam? – zapytał Elden.

Spojrzelili po sobie, zdumieni. Nikt nie znał odpowiedzi; był to nieprzebyty teren.

– Nie możemy tak po prostu odejść – rzekł Reece. – Krąg jest bezpieczny, gdy Miecz jest po naszej stronie – lecz nie wiemy, co może się zdarzyć, jeśli Miecz utkwi na dole.

– Tak długo, jak Miecz nie znajduje się w naszych rękach, nie wiemy, po której stronie się znajdzie – zgodził się Elden.

– Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko – rzekł Reece. – Od tego zależy los Kręgu. Nie możemy powrócić z pustymi rękoma, poniosłszy klęskę.

Reece zwrócił się w stronę swych kompanów. Spojrzał na nich, zdecydowany.

– Musimy go odzyskać – podsumował Reece. – Nim wpadnie w cudze ręce.

– *Odzyskać?* – spytał przerażony Krog. – Czyś postradał zmysły? Jak dokładnie zamierzasz tego dokonać?

Reece odwrócił się i zmierzył spojrzeniem Kroga, który patrzył mu prosto w oczy, jak zawsze butny. Krog był mu prawdziwą solą w oku, sprzeciwiając się jego rozkazom na każdym kroku, kwestionując co rusz jego władzę. Reece z wolna tracił cierpliwość.

– Dokonamy tego – obstawał przy swoim Reece. – Schodząc na dno Kanionu.

Wśród pozostałych rozszedł się stłumiony okrzyk, a Krog podparł się pod boki, skrzywiwszy się.

– Oszalałeś – rzekł. – Nikt nigdy nie zapuścił się na dno Kanionu.

– Nikt nawet nie wie, czy Kanion w ogóle *ma* dno – wtrącił Serna. – Widzieliśmy jedynie, jak Miecz znika we mgle. Może i spada dalej, w tej właśnie chwili.

– Bzdura – odparł Reece. – Wszystko ma dno. Nawet morze.

– Cóż, nawet jeśli Kanion ma dno – odparł Krog. – Jaki z tego dla nas pożytek, skoro znajduje się tak głęboko w dole, że ani go nie widzimy, ani nie słyszymy? Droga na dół zajmie nam wiele dni – albo i *tygodni*.

– Nie mówiąc już o tym, że to niełatwa wyprawa – rzekł

Serna. – Widzieliście urwisko?

Reece odwrócił się i przyjrzał klifom, antycznym skalnym ścianom Kanionu, częściowo przśloniętym kłębam mgły. Były proste, pionowe. Wiedział, iż mają rację; nie będzie łatwo. Wiedział jednak także, iż nic innego nie wchodzi w rachubę.

– Nie tylko to sprawi nam kłopot – odrzekł Reece. – Ściany są także śliskie od mgły. A nawet jeśli uda nam się dotrzeć na dół, być może nigdy nie powrócimy na górę.

Wszyscy wpatrywali się w niego zaintrygowani.

– Sam zatem przyznajesz, iż próba byłaby szaleństwem – rzekł Krog.

– Przyznaję, iż byłaby szaleństwem – zagrmiał Reece głosem pewnym i nieznoszącym sprzeciwu. – Lecz dla szaleństwa się narodziliśmy. Nie jesteśmy zwyczajnymi mężczyznami; nie jesteśmy zwyczajnymi mieszkańcami Kręgu. Jesteśmy szczególnym rodzajem: wojownikami. Należymy do Legionu. Złożyliśmy przysięgę. Przysięgliśmy nigdy nie cofać się, gdy wyprawa okaże się zbyt trudna lub niebezpieczna, nigdy się nie wahać, choć próba może przynieść nam szkodę. Słabi kryją się i wycofują – nie my. To właśnie *czyni* nas wojownikami. To najgłębsza istota męstwa: wyruszamy na wyprawę większą niż my sami, gdyż tak trzeba, tak nakazuje nam honor, nawet jeśli może się ona okazać niemożliwa do ukończenia. Wszak to nie osiągnięcie celu czyni postępek szlachetnym, lecz próba jego osiągnięcia. To coś większego niż my. Chodzi o to, *kim jesteśmy*.

Zaległa ciężka cisza. Wiatr zawodził, gdy wszyscy rozważali

słowa Reece'a.

W końcu Indra dała krok naprzód.

– Popieram Reece'a – rzekła.

– Ja także – dodał Elden, występując naprzód.

– I ja – dodał O'Connor, stając u boku Reece'a.

Conven w milczeniu podszedł do Reece'a, zaciskając dłoń na rękojeści miecza, i odwróciwszy się spojrzał na resztę.

– Dla Thorgrina – rzekł. – Wyruszyłbym na kres świata.

Reece'owi dodało śmiałości, iż miał u boku wypróbowanych, oddanych legionistów, ludzi, którzy stali się mu bliscy jak rodzina, którzy wyprawili się z nim w najodleglejsze krainy Imperium. Stali w bezruchu i wpatrywali się w dwóch nowych członków Legionu, Kroga i Serne. Reece zastanawiał się, czy do nich dołączać. Przydałyby im się dodatkowe pary rąk; lecz jeśli chcieli zawrócić, niech tak będzie. Nie będzie prosił dwa razy.

Krog i Serna także się w nich wpatrywali, niepewni.

– Jestem kobietą – rzekła do nich Indra. – Z czego drwiliście wcześniej. A oto stoję tu, gotowa podjąć wyzwanie godne wojownika – a wy, tacy muskularni i szyderczy, drżycie ze strachu.

Serna chrząknął, zirytowany, odgarniając swe długie, brązowe włosy z szeroko rozstawionych, wąskich oczu, i dał krok naprzód.

– Pójdę – powiedział. – Jedynie przez wzgląd na Thorgrina.

Krog jako jedyny stał naprzeciw nich, z czerwoną twarzą, butny.

– Jesteście głupcami – rzekł. – Wszyscy.

Postąpił jednak naprzód i dołączył do nich.

Reece, zadowolony, odwrócił się i poprowadził ich ku skrajowi Kanionu. Nie było czasu do stracenia.



Reece trzymał się kurczowo ściany urwiska, posuwając się mozolnie w dół, cal za cal. Pozostali znajdowali się kilka stóp nad nim. Serce Reece'a waliło jak młotem, gdy schodził, starając się nie stracić równowagi. Palce miał otarte i odrętwiałe z zimna, a stopy uciekały mu na śliskiej skale. Nie spodziewał się, iż będzie tak trudno. Spojrzał uprzednio w dół i przyjrzał się Kanionowi, kształtowi skały i dostrzegł, iż w niektórych miejscach ściana opada prosto w dół, jest idealnie gładka i niepodobna po niej schodzić; w innych miejscach porośnięta była gęstym mchem; jeszcze w innych była nierówna, poznaczona wystęgami, otworami, szczelinami i wnękami, w których można było postawić stopę lub wesprzeć dłoń. Gdzieś tam spostrzegł także półki skalne, na których mogli się zatrzymać.

Samo zejście okazało się jednak znacznie trudniejsze, niż się spodziewał. Mgła nieustannie przysłaniała to, co było pod nim. Reece przełknął ślinę i spojrzał w dół. Coraz trudniej było mu znaleźć miejsca, w których mógłby wesprzeć stopę. Nie wspominając o tym, iż nawet po tak długiej drodze dno, o ile w ogóle istniało, pozostawało wciąż poza zasięgiem ich wzroku.

Reece'a dręczył coraz większy strach, zaschło mu w gardle. W

głębi duszy zastanawiał się, czy nie popełnił poważnego błędu.

Nie ważył się jednak okazać swego niepokoju pozostałym. Thora nie było z nimi i teraz to on, Reece, dowodził, i musiał służyć im przykładem. Wiedział także, iż pozwalanie sobie na lęk nie przysłuży się i jemu. Musiał być silny i skupiony, wiedział, iż strach jedynie osłabi jego umiejętności.

Dłonie Reece'a drżały, gdy zbierał w sobie siłę. Rzekł sobie, iż musi zapomnieć o tym, co było pod nim i skupić się na tym, co znajduje się przed nim.

Krok po kroku, rzekł sobie. Na tę myśl poczuł się lepiej.

Reece znalazł kolejny występ, na którym mógł oprzeć stopę i dał kolejny krok w dół, potem następny i szedł teraz równym tempem.

– UWAGA! – ktoś krzyknął.

Reece skulił się, gdy małe kamienie nagle zaczęły osypywać się dokoła niego, odbijając się od jego głowy i ramion. Podniósł wzrok i ujrzał spadający w jego kierunku ogromny głaz; odsunął się i uniknął go o włos.

– Daruj! – zawołał w dół O'Connor. – Obluzował się!

Serce Reece'a waliło jak młotem, gdy na powrót przeniósł wzrok w dół i usiłował zachować spokój. Umierał z ciekawości, jak daleko od nich leży dno; podniósł dłoń, chwycił niewielki kamień, który zatrzymał się na jego ramieniu i, patrząc w dół, cisnął go.

Patrzył, nasłuchując czy spadający kamień wyda jakiś dźwięk. Nic nie usłyszał.

Złe przeczucie, które go dręczyło, poczęło narastać. Wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie Kanion się kończy. Ręce i stopy już teraz mu drżały i nie wiedział, czy podoła. Reece przełknął ślinę, a przez głowę przepływały mu najróżniejsze myśli, gdy posuwał się dalej w dół. Co jeśli Krog miał rację? Co jeśli Kanion w rzeczy samej nie miał dna? Co jeśli była to lekkomyślna misja samobójcza?

Reece dał kolejny krok, posuwając się kilka stóp w dół i nabierając znów rozpędu, gdy usłyszał nagły odgłos ciała osuwającego się po ścianie i czyjś krzyk. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, a gdy się odwrócił, ujrzał Eldena, który osuwał się po ścianie obok niego.

Reece instynktownie wyciągnął rękę. Udało mu się schwycić nadgarstek Eldena, gdy spadał obok niego. Szczęśliwie Reece trzymał się mocno skały drugą ręką i zdołał utrzymać Eldena, nie pozwalając mu osunąć się na sam dół. Elden zawisnął, nie mogąc znaleźć oparcia dla stóp. Był potężnej postury i ciężki i Reece czuł, że zaczynają go opuszczać siły.

Indra zeszła szybko w dół, pokonując dzielącą ich odległość, wyciągnęła rękę i złapała drugi nadgarstek Eldena. Elden próbował się wesprzeć, lecz nie mógł znaleźć oparcia dla nóg.

– Nie mam się o co zaprzeć! – krzyknął Elden pełnym paniki głosem. Przebierał nogami w powietrzu i Reece obawiał się, iż ześlizgnie się ze skały i spadną obaj. Szybko podjął decyzję.

Reece przypomniał sobie linę i hak, które pokazał mu O'Connor nim zaczęli schodzić, narzędzie używane podczas

wspinaczek w czasie obłęzenia. *Mogą być użyteczne*, powiedział mu O'Connor.

– O'Connor, lina! – krzyknął Reece. – Zrzuć ją!

Reece podniósł wzrok i patrzył, jak O'Connor wyciąga linę zatknietą za pas, odchyła się i wbija hak w wyrwę w skale. Zatopił go z całej siły, wypróbował kilka razy, po czym rzucił w dół. Lina zawisła obok Reece'a.

O'Connor zrzucił ją w ostatniej chwili. Śliska ręka Eldena wysuwała się z dłoni Reece'a i gdy już niemal się wysunęła, Elden wyciągnął rękę i chwycił linę. Reece wstrzymał oddech, modląc się, by wytrzymała.

Tak też się stało. Elden podciągał się powoli, aż znalazł oparcie dla nóg. Stał na półce skalnej, dysząc ciężko, odzyskawszy równowagę. Odetchnął z ulgą, podobnie jak Reece. Tak niewiele brakowało.

*

Schodzili dalej. Reece sam nie wiedział, ile czasu już upłynęło. Zaczęło zmierzchać, lecz mimo chłodu Reece oblewał się potem. Miał wrażenie, iż każda chwila może być jego ostatnią. Jego ręce i nogi mocno się trzęsły, a w uszach świszczał mu jego własny oddech. Zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma. Wiedział, iż jeśli nie dotrą wkrótce na dół, będą musieli zatrzymać się i odpocząć, zwłaszcza gdy nadejdzie noc. Sęk w tym, iż nie było gdzie się zatrzymać i odpocząć.

Reece nie potrafił odegnać od siebie myśli, czy – jeśli schodzenie ich wykończy –zaczną po prostu spadać, jeden po drugim.

Rozległ się głośny odgłos sypiących kamieni, po którym na Reece’a spadła niewielka lawina, miriady drobnych kamyczków, zatrzymując się na jego głowie, twarzy i w oczach. Serce mu zamarło, gdy usłyszał krzyk – innego rodzaju, niż uprzednio. Tym razem był to śmiertelny krzyk. Kątem oka spostrzegł ciało spadające obok niego tak szybko, iż niemal go nie dostrzegł.

Reece wyciągnął rękę, by go złapać, lecz wszystko działało się zbyt szybko. Mógł tylko odwrócić się i patrzeć, jak Krog spada w tył, młócąc w powietrzu rękami i krzycząc, prosto w nicość.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kendrick siedział na swym wierzchowcu u boku Ereca, Bronsona i Sroga, przed tysiącami ludzi, naprzeciw Tirusa i armii imperialnej. Wpadli prosto w ich pułapkę. Tirus ich wydał i teraz, poniewczasie, Kendrick zorientował się, iż zawierzenie mu było ogromnym błędem.

Kendrick spojrzał w górę, na prawo i ujrzał dziesięć tysięcy żołnierzy wysoko na brzegu doliny z naciągniętymi cięciwami łuków, i drugie tyle po lewej. Przed nimi stało ich jeszcze więcej. Kilka tysięcy ludzi Kendricka nie byłoby w stanie nigdy pokonać tak liczego przeciwnika. Rozgromiliby ich, choćby tylko podjęli tę próbę. A przy wszystkich tych napiętych cięciwach najmniejszy ruch skończyłby się rzezią jego ludzi. Pod względem geograficznym pozycja w głębi doliny także im nie sprzyjała. Tirus mądrze obrał miejsce na swą zasadzkę.

Kendrick siedział bezsilnie, a twarz płonęła mu z gniewu i oburzenia. Wpatrywał się w Tirusa, który siedział dumnie na swym wierzchowcu z uśmiechem samozadowolenia na twarzy. U jego boku na koniach siedziało jego czterech synów, a obok nich, dowódca imperialny.

– Czy złoto jest dla ciebie w istocie tak ważne? – zawołał Kendrick do znajdującego się nie dalej niż dziesięć stóp od niego Tirusa. Jego głos był zimny jak stal. – Zaprzedasz własnych ludzi, własną krew?

Tirus nie okazał skruchy; uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Zapominasz chyba, iż twoi ludzie to nie moja krew – rzekł.
– Dlatego też, wedle waszych praw, nie należy mi się tron mego brata.

Erec odchrząknął ze złością.

– Prawo MacGilów przekazuje tron synowi – nie bratu.

Tirus potrząsnął głową.

– To wszystko jest teraz nieistotne. Wasze prawo nie ma już dla mnie znaczenia. Siła zawsze zwycięża prawo. To silni je stanowią. A, jak być może spostrzegłeś, to ja jestem silniejszy. Co oznacza, iż od dziś to ja tworzę prawo. Pokolenia, które przyjdą po nas, nie będą pamiętały żadnego z waszych praw. Zapamiętają jedynie, iż to ja, Tirus, byłem królem. Nie ty – ani twa siostra.

– Rządy objęte nieprawnie nigdy nie trwają długo – odparł Kendrick. – Możesz nas zabić; możesz nawet przekonać Andronicusa, by przyznał ci prawo do tronu. Lecz obaj wiemy, iż niedługo na nim posiedzisz. Ktoś zdradzi cię tak samo, jak ty zdradziłeś nas.

Tirus był przejął się jego słowami.

– Będę zatem smakował tych kilka dni na tronie, póki trwają – i z podziwem spojrzę na tego, który zdoła zdradzić mnie równie umiejętnie, jak ja zdradziłem was.

– Dosyć tej gadaniny! – wykrzyknął dowódca Imperium. – Poddajcie się albo wasi ludzie zginą!

Kendrick spojrzał na niego, ogarnięty furją. Wiedział, że musi

się poddać, lecz nie chciał tego czynić.

– Złóżcie oręż – rzekł Tirus uspokajającym tonem. – A potraktuję was sprawiedliwie, jak wojownik wojownika. Będziecie moimi jeńcami. Może i nie żyję podług waszego prawa, lecz uznaję kodeks bitewny wojownika. Przysięgam, pod moim okiem nic wam nie grozi.

Kendrick wymienił szybkie spojrzenia z Bronsonem, Srogiem i Erekiem. W milczeniu siedzieli na swych wierzchowcach, które ryły kopytami ziemię. Każdy z nich był dumnym wojownikiem.

– Dlaczego mielibyśmy ci zawierzyć? – zawołał Bronson do Tirusa. – Tobie, który dowiodłeś już, że twoje słowo jest nic niewarte? Bez wahania rzeknę, iż wolałbym zginąć tutaj, na polu bitwy, byle tylko zetrzeć z twej gęby ten chytry uśmieszek.

Tirus odwrócił się i obrzucił Bronsona gniewnym spojrzeniem.

– Przemawiasz, choć nie jesteś MacGilem. Jesteś McCloudem. Nie masz prawa wtrącać się w sprawy MacGilów.

Kendrick stanął w obronie swego kompana:

– Bronson jest MacGilem, jak każdy z nas. Przemawia w imieniu naszych ludzi.

Tirus zazgrzytał zębami, wyraźnie poirytowany.

– Decyzja należy do ciebie. Rozejrzyj się dokoła, spójrz na tysiące naszych łuczników z naciągniętymi cięciwami. Przechytrzyłem was. Gdybyście choć sięgnęli do mieczy, twoi ludzie padną martwi w okamgnieniu. Z pewnością nawet ty to dostrzegasz. Czasem trzeba walczyć, a czasem – poddać się. Jeśli

chcesz chronić swych ludzi, zrobisz to, co zrobiłby każdy dobry dowódca. Złożysz oręż.

Kendrick zacisnął kilka razy szczękę, rozwścieczony. Choć nie podobała mu się ta myśl, wiedział, iż Tirus ma rację. Ukradkiem spojrział na boki i w jednej chwili wiedział, iż większość – albo i wszyscy – jego ludzie zginą tutaj, jeśli spróbują walczyć. Choć palił się do walki, byłaby to samolubna decyzja; i choć gardził Tirusem, wyczuwał, że mówi prawdę i jego ludziom nic się nie stanie. Jak długo pozostawali przy życiu, mieli szansę stoczyć tę bitwę innego dnia, w innym miejscu, na innym polu.

Kendrick spojrział na Ereca, mężczyznę, z którym walczył nieprzeliczoną ilość razy, czempiona Srebrnej Gwardii, i wiedział, iż myśli to samo. Czym innym było być przywódcą, a czym innym być wojownikiem: wojownik mógł walczyć zuchwale, zapamiętale, lecz przywódca musiał mieć na względzie nade wszystko dobro innych.

– Jest czas, by walczyć, i jest czas, by złożyć broń – zawołał Erec. – Zawierzmy ci na słowo, jako wojownikowi, iż naszym ludziom nic się nie stanie i pod tym warunkiem złożymy oręż. Lecz jeśli złamiesz swe słowo – niech Bóg ma cię w opiece, bowiem powrócę z samych piekieł, by pomścić każdego jednego z mych ludzi.

Tirus, zadowolony, skinął głową, a wtedy Erec wyciągnął przed siebie dłoń i wypuścił miecz wraz z pochwą, które upadły na ziemię z brzękiem.

Kendrick poszedł w jego ślady, a za nim Bronson i Srog. Czynili to z niechęcią, lecz wiedzieli, iż to mądre posunięcie.

Powietrze przeciął brzęk tysięcy broni, spadających na zimową ziemię. Wszyscy Gwardziści, MacGilowie i silesianie poddali się.

Tirus uśmiechnął się szeroko.

– A teraz zsiądźcie z rumaków – rozkazał.

Jeden za drugim zeszli z koni i stanęli przed nimi.

Tirus wyszczerzył zęby w uśmiechu, rozkoszując się swym zwycięstwem.

– Przez wszystkie te lata, które spędziłem na Wyspach Górnych, z zazdrością patrzyłem na Królewski Dwór, przyglądając się memu starszemu bratu, jego potędze. Lecz który z MacGilów teraz dzierży władzę?

– Władza uzyskana za pomocą zdrady nie jest władzą – odparł Bronson.

Tirus spojrzał na niego gniewnie i skinął na swych ludzi.

Pospieszyli naprzód, skrępowali nadgarstki każdego z tysięcy mężczyzn szorstkim sznurem i poczęli ich dokądś prowadzić.

Wtem Kendrick przypomniał sobie nagle o swym bracie, Godfreyu. Wyruszyli wszyscy razem, a nie widział od tej pory ani jego, ani jego ludzi. Zastanawiał się, czy jakimś sposobem udało mu się uciec. Modlił się, by spotkał go los lepszy niż ich. Nie martwił się jednak zbytnio.

Z Godfreyem nigdy nic nie było pewne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Godfrey jechał na czele swych ludzi. Po dwu stronach miał Akortha, Fultona i swego silesiańskiego generała oraz dowódcę imperialnego, którego sowicie opłacił. Na twarzy Godfreya gościł szeroki uśmiech. Nie posiadał się z radości, gdy obejrzał się przez ramię i ujrzał imperialny oddział w sile kilku tysięcy ludzi, który przyłączył się do nich.

Z zadowoleniem myślał o zapłacie, którą im dał, o niezliczonych workach złota. Przywołał w pamięci wyrazy ich twarzy i rozpierała go radość, iż jego plan się powiódł. Do ostatniej chwili nie był go pewien i teraz po raz pierwszy odetchnął ze spokojem. Wszak bitwę wygrać można na wiele sposobów, a on właśnie uczynił to, nie rozlawszy ani kropli krwi. Może i nie czyniło go to tak mężnym czy odważnym jak innych wojowników. Lecz powiodło mu się. A czyż nie o to właśnie chodziło? Wolał widzieć swych ludzi żywych, opłaciwszy przeciwnika, niż oglądać, jak połowa z nich ginie w jakimś lekkomyślnym akcie męstwa. Taka zasada mu przyświecała.

Godfrey ciężko pracował na to, co osiągnął. Wykorzystał wszystkie znajomości z czarnego rynku – przez zamtuzy, podejrżane uliczki i karczmy – by dowiedzieć się, kto z kim spędza noce, które zamtuzy w Kręgu odwiedzane były przez dowódców imperialnych i który z nich skłonny będzie przyjąć łapówkę. Godfrey miał więcej pokątnych znajomości niż inni

– spędził całe życie, gromadząc je – a teraz okazywały się przydatne. Nie zaszkodziło także, iż opłacił każdą ze swych znajomości. W końcu wydał złoto tatusia w użyteczny sposób.

Godfrey nie wiedział jednak aż do ostatniej chwili, czy może na nich polegać. Nikt nie sprzedaje drugiego tak, jak złodziej i Godfrey musiał zaryzykować, iż go zwodzą. Wiedział, iż podejmuje ryzyko, iż na tych ludziach nie można polegać bardziej niż na złocie, którym się ich opłaca. Lecz Godfrey opłacił ich czystym złotem i okazało się, że można na nich polegać bardziej, niż się spodziewał.

Rzecz zrozumiała, nie miał pojęcia, jak długo utrzyma ich lojalność. Lecz przynajmniej uniknęli bitwy i, jak na razie, mieli ich po swojej stronie.

– Myliłem się co do ciebie – dobiegł go głos.

Godfrey obejrzał się przez ramię i ujrzał, że silesiański generał się z nim zrównuje. Patrzył na niego z podziwem.

– Muszę przyznać, iż wątpiłem w ciebie – ciągnął dalej. – Wybacz. Nie przyśniłby mi się nawet plan, który obmyśliłeś. W rzeczy samej pomysłowe. Nie poddam już w wątpliwość twych sposobów.

Godfrey uśmiechnął się w odpowiedzi, czując, iż jego słowa wynagradzają mu dawne lata. Wszyscy generałowie, wszyscy wojskowi wątpili w niego całe jego życie. Na dworze jego ojca – dworze wojowników – zawsze spoglądano na niego ze wzgardą. Teraz w końcu poczynali dostrzegać, iż Godfrey, na swój własny sposób, był równie zręczny, jak oni.

– Nie troskaj się – rzekł Godfrey. – Ja sam poddaję w wątpliwość moje sposoby. Uczę się w trakcie działania. Nie jestem dowódcą i nie mam żadnego wielkiego planu – innego niż ten, by przeżyć w każdy możliwy sposób.

– A dokąd teraz zmierzamy? – spytał generał.

– Dołączymy do Kendricka, Erecy i reszty i zrobimy, co w naszej mocy, by im pomóc.

Tysiące mężów – osobliwy i kruchy sojusz między żołnierzami Imperium i Godfreyą – jechały w górę i dół wzniesień, przez rozległe, suche, pylaste ziemie, zmierzając ku dolinie, którą Kendrick wyznaczył na spotkanie.

W drodze miliony myśli przebiegały Godfreyowi przez głowę. Zastanawiał się, jak powiodło się Kendrickowi i Erecowi, jak dużą przewagę liczebną będzie miał przeciwnik i jak powiedzie mu się w kolejnej bitwie, *prawdziwej* bitwie. Nie mógł dłużej jej unikać; nie miał w zanadrzu już żadnych pomysłów ani złota.

Nerwowo przełknął ślinę. Czuł, iż nie ma w sobie tyle odwagi, ile inni zdawali się mieć, z którą zdawali się rodzić. Wszyscy poza nim zdawali się tak nieustraszeni w boju, a nawet w życiu. Godfrey musiał jednakże przyznać, iż lękał się. Myślał o bitwie i wiedział, iż jej nie uniknie. Był jednak niezdarny, nie posiadał umiejętności innych i sam nie wiedział, ile razy poratowali go już bogowie fartu.

Pozostali zdawali się nie dbać o to, czy zginą – wszyscy z wielką chęcią wyruszyli, by oddać swe życie dla chwały. Godfrey cenił sobie chwałę. Lecz nad chwałę wynosił życie. Kochał swoje

piwo i jadło i nawet teraz burczenie w brzuchu ponaglało go ku bezpiecznym czterem ścianom którejs z karczm. Życie na polu bitwy nie było dla niego.

Godfrey pomyślał jednak o Thorze, który był gdzieś daleko, pojmany; pomyślał o wszystkich swych krewniakach walczących za tę sprawę i wiedział, iż to właśnie tutaj nakazuje mu być jego honor – jakkolwiek skalany by nie był.

Jechali i jechali, aż w końcu dotarli na szczyt, z którego roztaczał się rozległy widok na rozciągającą się u ich stóp dolinę. Zatrzymali się i Godfrey zmrużył oczy, oślepiiony słońcem, usiłując przyzwyczaić do niego wzrok i dojrzeć, co leży przed nim. Uniósł dłoń do oczu, osłaniając je, i spojrzał w dal, nie pojmując.

Wtem, ku jego zgrozie, wszystko stało się jasne. Godfreyowi serce zamarło: w dole Imperium prowadziło tysiące ludzi Kendricka, Ereca i Sroga, skrupowanych jako jeńców. Była to siła zbrojna, do której miał dołączyć. Ze wszystkich stron otaczała ich dziesięciokrotnie większa liczba żołnierzy Imperium. Szli pieszo, ze skrupowanymi nadgarstkami, jako jeńcy, prowadzeni nie wiadomo dokąd. Godfrey wiedział, iż Kendrick i Erec nigdy nie poddaliby się, gdyby nie było po temu dobrego powodu. Wyglądało na to, iż wpadli w zasadzkę.

Godfrey zastygł w miejscu, zdjęty nagłym przestraczem. Zastanawiał się, jak do tego doszło. Spodziewał się zastać ich w ferworze zaciętej bitwy, spodziewał się przypuścić szarżę i połączyć z nimi siły. Teraz jednakże miast tego znikali mu z oczu

na widnokręgu, już teraz o dobre pół dnia drogi od niego.

Generał imperialny podjechał do Godfrey'a i prychnął drwiąco.

– Zdaje się, że twoi ludzie ponieśli klęskę – rzekł. – Nie taka była nasza umowa.

Godfrey odwrócił się do niego i spostrzegł, jak niespokojny się zdaje.

– Dobrze wam zapłaciłem – powiedział Godfrey. Niepokoił się, lecz zdobył się na swój najpewniejszy głos. Czuł, iż ich układ wisi na włosku. – I zgodziłeś się przyłączyć do mnie i wesprzeć mą sprawę.

Lecz generał potrząsnął głową.

– Przystałem, by dołączyć do ciebie w bitwie – nie misji samobójczej. Moich kilka tysięcy ludzi nie stanie naprzeciw całego batalionu Andronicusa. Nasz układ się zmienił. Możesz walczyć z nimi sam – a ja zachowam twe złoto.

Generał odwrócił się, krzyknął i poganiając kopniakiem konia ruszył w przeciwnym kierunku. Jego ludzie podążyli tuż za nim. Wkrótce zniknęli im z oczu po drugiej stronie doliny.

– Mają nasze złoto! – rzekł Akorth. – Ruszamy za nimi?

Godfrey pokręcił głową, patrząc, jak odjeżdżają.

– A cóż nam z tego przyjdzie? To tylko złoto. Nie zamierzam dla niego ryzykować naszego życia. Niech jadą. Złoto to nie wszystko.

Godfrey odwrócił się i spojrzał uważnie na znikającą na widnokręgu grupę wojowników Kendricka i Ereca, którzy

bardziej go zajmowali. Nie mógł teraz liczyć na żadne wsparcie i był jeszcze bardziej samotny niż uprzednio. Czuł, jak jego plan rozsypuje się na drobne kawałeczki.

– Co teraz? – spytał Fulton.

Godfrey wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam – odrzekł.

– Nie powinieneś tak mówić – powiedział Fulton. – Jesteś teraz dowódcą.

Lecz Godfrey tylko ponownie wzruszył ramionami.

– To prawda.

– Niełatwe są te wojownicze sprawy – rzekł Akorth, ściągając hełm i drapiąc się po brzuchu. – Nie do końca układają się tak, jak by się chciało, prawda?

Godfrey siedział w bezruchu, kręcąc głową i zastanawiając się, co począć. Dostały mu się karty, których się nie spodziewał, i nie był na to przygotowany.

– Wycofujemy się? – spytał Fulton.

– Nie – Godfrey usłyszał swój własny głos, który zaskoczył nawet jego samego.

Pozostali spojrzeli na niego, zszokowani. Zebrali się bliżej, by usłyszeć jego rozkazy.

– Może i nie jestem świetnym wojownikiem – rzekł Godfrey. – Lecz tam są moi bracia. Nie wiemy, dokąd ich prowadzą. Nie możemy się wycofać. Nawet jeśli skończy się to naszą śmiercią.

– Postradałeś rozum, panie? – spytał silesiański generał. – Wszyscy ci wielcy wojownicy Srebrnej Gwardii, MacGilów,

silesian – oni wszyscy nie potrafili rozprawić się z armią imperialną. Jak niby tysiąc naszych ludzi, pod *twoim* dowództwem, miałyby tego dokonać?

Godfrey zwrócił się do niego poirytowany. Miał dosyć tego, że wszyscy w niego wątpią.

– Nigdy nie rzekłem, że zwyciężymy – odparł. – Rzekłem jedynie, iż czyniąc to, postąpimy słusznie. Nie porzucę ich. A teraz, jeśli chcesz zawrócić i wracać do domu, ruszaj w drogę. Zaatakuję ich bez twojej pomocy.

– Nie masz doświadczenia w dowodzeniu – rzekł, obrzucając go pewnym gniewu spojrzeniem. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Poprowadzisz wszystkich tych ludzi na pewną śmierć.

– Nie mam – odrzekł Godfrey. – To prawda. Lecz przysięgłeś więcej we mnie nie wątpić. A ja nie zawrócę.

Godfrey podjechał kilka stóp naprzód, na wzniesienie, na którym widzieli go wszyscy jego ludzie.

– MEŻOWIE! – zawołał grzmiącym głosem. – Wiem, iż nie znacie mnie jako niezawodnego dowódcę, jak Kendricka, Ereca czy Sroga. To prawda, nie posiadam ich umiejętności, lecz jestem silny duchem, przynajmniej czasami. Wy także jesteście silni duchem. Schwytani tam są nasi bracia. Ja wolałbym nie żyć, niż pozwolić, by na naszych oczach zabrali ich, a potem wrócić jak psy do domu, do naszych miast, i czekać, aż nadejdzie Imperium i zabije także nas. Tego możecie być pewni: jednego dnia nas zabiją. Możemy polec teraz wszyscy, w walce, ścigając przeciwnika jako wolni ludzie. Albo możemy polec okryci

wstydem i niesławą. Wybór należy do was. Jedźcie ze mną, a – czy skończy się to waszą śmiercią, czy nie – okryjecie się chwałą!

Wśród jego ludzi rozległ się okrzyk tak entuzjastyczny, iż zaskoczył Godfreya. Wszyscy unieśli miecze wysoko w powietrze, co dodało mu odwagi.

Pomogło to także pojąć mu ważkość tego, co właśnie rzekł. Nie przemyślał dokładnie swych słów, nim je wypowiedział; kierował nim impuls. Teraz pojął, iż w istocie zobowiązał się do tego, i jego własne słowa wprawiły go w lekkie osłupienie. Jego odwaga przytłoczyła nawet jego samego.

Mężczyźni niespokojnie poruszali się na swych wierzchowcach, sprawdzali swój oręż i gotowali się do swej ostatecznej szarży. Akorth i Fulton zbliżyli się do Godfreya.

– Napijesz się? – spytał Akorth.

Godfrey opuścił wzrok i ujrzał, iż wyciąga w jego stronę bukłak z winem. Wyrwał mu go z dłoni, odrzucił głowę w tył i pił, i pił, aż niemal go opróżnił, przerywając jedynie na chwilę, by złapać oddech. W końcu Godfrey otarł usta i oddał Akorthowi bukłak.

Co też najlepszego uczyniłem? pomyślał. Zobowiązał siebie i pozostałych do bitwy, której nie mógł wygrać. Czyżby rozumował niejasno?

– Nie sądziłem, że zdobędziesz się na coś takiego – powiedział Akorth, poklepując go mocno po plecach i bekając. – Co za mowa. Lepsza niż teatr!

– Powinniśmy byli sprzedawać bilety! – dodał Fulton.

– Pewnie i masz rację – rzekł Akorth. – Lepiej zginąć w walce, z uniesioną głową, niż leżąc na plecach.

– Na plecach nie byłoby znowu tak nieznośnie, gdyby leżało się w łożu w zamtuzie – dodał Fulton.

– A jakże! – rzekł Fulton. – A co byś rzekł na śmierć z kuflem piwa w dłoni i odchyloną w tył głową!

– To byłoby niezgorsze! – przyznał Akorth, biorąc łyk wina z bukłaka.

– Po jakimś czasie jednak wszystko by się znudziło – rzekł Fulton. – Ile kufla piwa można wypić, ile kobiet schędożyć?

– Cóż, całkiem wiele, jeśli dobrze się do tego zabierzesz – rzekł Akorth.

– I tak sędzę, iż ciekawie byłoby zginąć w inny sposób. Nie tak nudny.

Z piersi Akortha dobyło się westchnienie.

– Gdybyśmy przeżyli to wszystko, przynajmniej mielibyśmy powód, by *naprawdę* się napić. Po raz pierwszy w życiu zasłużylibyśmy sobie na to!

Godfrey odwrócił się, próbując nie zważać na nieustanną paplaninę Akortha i Fultona. Musiał się skupić. Nadszedł czas, by stał się mężczyzną, by puścić w niepamięć błazeńskie odzywki i karczemne żarty; nadszedł czas, w którym musiał podejmować *prawdziwe* decyzje, które dotyczyły *prawdziwych* ludzi w *prawdziwym* świecie. Poczuł ciężar tego obowiązku; nie potrafił odegnać od siebie pytania, czy tak właśnie czuł się jego ojciec. Zdumiało go, iż choć nienawidził go, zaczynał go

rozumieć. Może nawet, ku swemu przerażeniu, stawał się taki jak on.

Zapominając o leżącym przed nim niebezpieczeństwie, Godfrey poczuł nagły przypływ pewności. Pogonił nagle konia kopniakiem i z okrzykiem bitewnym rzucił się w głąb doliny.

Za nim rozległ się natychmiast okrzyk bitewny tysięcy, a stukot galopującym za nich wierzchowców rozbrzmiał mu w uszach.

Wiatr targał jego włosy, a Godfrey odczuł wypite wino, które szumiało teraz w głowie, gdy pędził ku pewnej śmierci, zastanawiając się, w co też się wpakował.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Thor siedział na wierzchołku u boku swego ojca. Po drugiej stronie miał McClouda, a nieopodal Rafiego. Za nimi na koniach siedziały dziesiątki tysięcy żołnierzy Imperium, trzon armii Andronicusa, zdyscyplinowany i cierpliwie czekający na jego rozkaz. Znajdowali się na wzniesieniu, z którego spoglądali na Pogórze i jego okryte śniegiem szczyty. W górze leżało jedno z miast McClouda, Wysoka Osada. Thor naprężył się jak struna na widok tysięcy żołnierzy opuszczających miasto i jadących w ich kierunku, gotując się do bitwy.

Nie byli to ludzie MacGila, ani żołnierze Imperium. Nosili zbroje, które Thorowi zdało się, iż rozpoznaje; lecz gdy zacisnął dłoń na rękojeści swego nowego miecza, nie był do końca pewien, kim są ani dlaczego ich atakują.

– McCloudowie. Moi dawni ludzie – wyjaśnił McCloud Andronicusowi. – Dobrzy żołnierze. Mężczyźni, których niegdyś szkoliłem i u boku których walczyłem.

– Teraz jednakże zwrócili się przeciwko tobie – zauważył Andronicus. – Gnają, by spotkać się z tobą w boju.

McCloud łypnął gniewnie jednym okiem, które mu pozostało. Połowę jego twarzy przykrywało wypalone godło Imperium. Wyglądał groteskowo.

– Wybacz, panie – rzekł. – Nie moja to wina. To sprawka mego syna, Bronsona. On to nastawił mych własnych ludzi

przeciw mnie. Gdyby nie on, dołączyliby do mnie w twojej wielkiej sprawie.

– To nie sprawa twojego syna – poprawił go Andronicus głosem zimnym jak stal, zwracając się ku niemu. – Lecz twoja własna. Lichy z ciebie dowódca i jeszcze lichszy ojciec. Skoro twój syn jest nieudacznikiem, i ty nim jesteś. Powinienem był wiedzieć, że nie będziesz w stanie zapanować nad swymi ludźmi. Powinienem był ukatrupić cię dawno temu.

McCloud nerwowo przełknął ślinę.

– Panie, zważ także, iż nie tylko przeciw mnie walczą, lecz także przeciw tobie. Chcą pozbyć się Imperium z Kręgu.

Andronicus pokręcił głową, przesuwając palcami po naszyjniku ze skurczonych głów.

– Lecz teraz jesteś po mojej stronie – rzekł. – Zatem walka ze mną jest zarazem walką z tobą.

McCloud dobył swego miecza, patrząc gniewnie na nadciągającą armię.

– Będę walczył i zabiję każdego jednego z moich własnych ludzi – oznajmił.

– Wiem, że tak będzie – rzekł Andronicus. – W przeciwnym razie ukatrupię cię własnymi rękoma. Nie żebym potrzebował twojej pomocy. Moi ludzie są w stanie wyrządzić szkody znacznie większe, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić – zwłaszcza, gdy dowodzi nimi mój własny syn, Thornicus.

Thor siedział na swym wierzchowcu, słysząc niewyraźnie ich rozmowę, a zarazem nie słysząc ani słowa. Był otumaniony.

W jego umyśle roilo się od obcych myśli, których nie rozpoznawał, myśli, które krążyły mu w głowie i nieustannie przypominały o lojalności, którą poprzysiągł swemu ojcu, o jego obowiązku walki za Imperium, o jego przeznaczeniu jako syna Andronicusa. Myśli kłębiły się w jego głowie bez ustanku i choć starał się jak mógł, nie potrafił rozumować jasno, myśleć samodzielnie. Jak gdyby stał się jeńcem we własnym ciele.

Gdy Andronicus się odzywał, każde z jego słów dostawało się do umysłu Thora, stając się wpierw sugestią, następnie rozkazem, a potem jakimś sposobem stawało się jego własnymi myślami. Thor mocował się ze sobą, jakaś niewielka jego część starała się wyrzucić z umysłu te napastliwe uczucia i odzyskać jasność rozumowania. Lecz im bardziej się mocował, tym trudniejszym stawało się to zadanie.

Siedząc na koniu obserwował, jak nadciągająca armia mknie w ich kierunku. Czuł przepływającą przez jego żyły krew i mógł myśleć jedynie o swej lojalności względem ojca, o potrzebie zmiżdżenia każdego, kto stanie na drodze jego ojcu. O swym przeznaczeniu, by władać Imperium.

– Thornicusie, czyś mnie słyszał? – rzekł nagle Andronicus. – Czy jesteś gotów pokazać, na co cię stać w bitwie dla swego ojca?

– Tak, ojcze – odrzekł Thor ze wzrokiem utkwionym przed sobą. – Zmierzę się z każdym, kto zechce zmierzyć się z tobą.

Andronicus uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się przodem do swych ludzi.

– MEŻOWIE! – rozgrzmiał jego głos. – Nadszedł czas, by stawić czoła wrogowi, by wypławić Krąg z pozostałych tu jeszcze buntowników, raz na zawsze. Zaczniemy od tych ludzi McClouda, którzy ośmielają się okazywać nam nieposłuszeństwo. Mój syn, Thornicus, poprowadzi nas do bitwy. Podążajcie za nim, jak podążalibyście za mną. Oddajcie za niego życie, jak oddalibyście je za mnie. Jeśli zdradzicie jego, to tak, jakbyście mnie zdradzili!

– THORNICUS! – krzyknął Andronicus.

– THORNICUS! – rozległo się echo chóru dziesięciu tysięcy żołnierzy Imperium.

Thor, ośmielony, uniósł wysoko swój miecz, miecz imperialny, ten, który podarował mu jego ukochany ojciec. Czuł przepływającą przez niego moc, moc jego krwi, jego ludzi, wszystkiego, czym miał się stać. W końcu znalazł się w domu, na powrót ze swym ojcem. Dla niego Thor był zdolny do wszystkiego. Nawet by rzucić się na śmierć.

Thor wydał z siebie okrzyk bitewny, kopniakiem ponaglając konia, i przypuścił szarżę w dół doliny, jako pierwszy rzucając się w bój. Za jego plecami rozległ się donośny okrzyk bitewny, gdy dziesiątki tysięcy mężczyzn poszły w jego ślady, gotowe pójść za Thornicusem na śmierć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mycoples siedziała skulona, zaplątana w ogromną akronową sieć, nie mogąc podnieść się ani rozpostrzeć skrzydeł. Siedziała nieopodal steru i choć starała się z całych sił, nie potrafiła unieść łba, poruszyć łapami ani wysunąć szponów. Nigdy jeszcze nie czuła się tak źle, jak tego dnia, nigdy nie czuła się tak skrępowana, tak bezsilna. Zwinęła się w kłębek i powoli mrugała oczyma, przygębiona, choć bardziej przez wzgląd na Thora niż na siebie.

Mycoples wyczuwała energię Thora nawet z tak dużej odległości, nawet gdy statek niósł ją przez morze, kołysząc się na ogromnych falach. Ciało smoczyca unosiło się i opadało, gdy fale wdzierały się na pokład. Mycoples czuła, iż Thor się zmienia, staje się kimś innym, że nie jest już tym, którego kiedyś знаła. Była zdruzgotana. Nie potrafiła odegnąć wrażenia, iż w jakiś sposób go zawiodła. Kolejny raz spróbowała się wyrwać, tak bardzo chcąc polecieć do niego, ocalić go. Lecz nie potrafiła się uwolnić.

Ogromna fala wdarła się na pokład i spienione wody Tartuwianu wślizgnęły się pod sieć, spychając Mycoples na drugą stronę, aż uderzyła łbem o drewnianą burtę. Skuliła się i syknęła, pozbawiona dawnego ducha i siły. Poddawała się swemu nowemu losowi, wiedząc, iż zamierzają ją zabić, albo – co gorsza – umieścić w niewoli. Nie dbała o to, co się z nią stanie. Pragnęła

jedynie, by nie wyrządzili krzywdy Thorowi. I pragnęła szansy – jednej, ostatniej – by dokonać zemsty na swych prześladowcach.

– Tam jest! Prześlizgnęła się przez pół pokładu! – zawołał jeden z żołnierzy Imperium.

Mycoples poczuła nagłe, bolesne dżgnięcie na delikatnych łuskach pyska i ujrzała dwóch żołnierzy Imperium z włóczniami długimi na trzydzieści stop w dłoniach, poszturchujących ją z bezpiecznej odległości przez sieć. Spróbowała się na nich rzucić, lecz sieć przytrzymała ją w miejscu. Warczała, gdy dżgali ją raz po raz, śmiejąc się z uciechy.

– Już nie taka straszna, co? – spytał jeden drugiego.

Drugi roześmiał się, zbliżając włócznię do jej ślepia. Mycoples odsunęła się w ostatniej chwili, uniemożliwiając mu wyłupienie go.

– Muchy by nie skrzywdziła – rzekł.

– Słyszałem, że wystawią ją na pokaz w nowej stolicy Imperium.

– Ja słyszałem co innego – odparł tamten. – Słyszałem, że chcą wyrwać jej skrzydła i torturować za wszystkie krzywdy, jakie wyrządziła naszym ludziom.

– Chciałbym tam być i to ujrzyć.

– Czy istotnie musimy dowieźć ją nietkniętą? – spytał pierwszy.

– Takie są rozkazy.

– Nie pojmuję, czemu nie mielibyśmy choć odrobinę jej okaleczyć. Wszak nie potrzebuje tak naprawdę dwóch ślepi, czyż

nie?

Drugi roześmiał się.

– Skoro tak to ująłeś... Chyba nie – odrzekł. – Dalej. Udanej zabawy.

Mężczyzna zbliżył się i uniósł wysoko włócznię.

– Nie ruszaj się, dziewczeczko – powiedział żołnierz.

Mycoples wzdrygnęła się, gdy żołnierz rzucił się naprzód, gotując się, by zatopić długą włócznię w jej ślepiu.

Nagle kolejna fala wlała się przez burzę; woda przewróciła żołnierza i mężczyzna ślizgając się sunął wprost na jej twarz, z oczyma szeroko rozwartymi z przerażenia. Ogromnym wysiłkiem Mycoples zdołała unieść jeden ze swych szponów wystarczająco wysoko, by żołnierz zmieścił się pod nim; a wtedy smoczyca opuściła go i przebiła mu gardło.

Żołnierz krzyknął, a dokoła trysnęła krew i mieszała się z wodą. Mężczyzna wyzionął ducha pod jednym z jej szponów. Mycoples odczuła niejaki zadowolenie.

Drugi żołnierz Imperium odwrócił się i odbiegł, wzywając pomocy. W ciągu kilku chwil pojawił się tuzin żołnierzy Imperium, a każdy z nich dzierżył w dłoni długą włócznię.

– Ukatrupić ją! – wykrzyknął jeden z nich.

Wszyscy zbliżyli się, by ją zabić i Mycoples była przekonana, iż tak właśnie się stanie.

Poczuła, jak wzbiera w niej nagły gniew, niepodobny do żadnego, który wcześniej czuła. Przymknęła powieki i wzniosła prośbę do Boga, by dał jej jeszcze jeden, ostatni przyływ siły.

Z wolna czuła, jak w jej brzuchu narasta ciepło i przepływa przez jej gardło. Uniosła pysk i wydała z siebie ryk. Ku swemu zaskoczeniu, plunęła strumieniem ognia.

Płomienie przeszły sieć i choć nie zniszczyły akronu, ściana ognia pochłonęła tuzin zbliżających się ku niej mężczyzn.

Krzyknęli, gdy ich ciała zajęły się ogniem; większość osunęła się na pokład, a ci, którzy nie zginęli od razu, puścili się biegiem i wyskoczyli za burzę. Mycoples uśmiechnęła się.

Pojawił się kolejny tuzin żołnierzy, tym razem dzierżących maczugi i Mycoples po raz wtóry próbowała ziać ogniem.

Tym razem jednakże nie udało jej się. Bóg wysłuchał jej prośby i raz obdarzył ją łaską. Teraz jednak nie mogła już zrobić nic więcej. Była wdzięczna za to, co otrzymała.

Tuziny żołnierzy z maczugami rzuciły się naprzód i spadł na nią grad ciosów. Mycoples z wolna czuła, jak opuszczają ją siły, a powieki opadają coraz niżej. Zwinęła się w ciasny kłębek, zrezygnowana, zastanawiając się, czy jej czas na tym świecie dobiegł końca.

Wkrótce jej świat wypełnił się ciemnością.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Romulus stał za sterem swego ogromnego okrętu o wymalowanym na złoto i czarno kadłubie, na maszcie którego śmiało powiewała bandera Imperium, lew z orłem w paszczy. Wsparł ręce na biodrach – przez co jego muskularna sylwetka zdawała się jeszcze szersza – i stał w bezruchu, jak gdyby wrośnięty był w pokład. Wpatrywał się w kołyszące się, okryte połyskliwą poświatą fale Ambreku. W oddali, na widnokręgu, rysowały się brzegi Kręgu.

Najwyższa pora.

Serce Romulusa zabiło szybko, niecierpliwie, gdy jego oczy po raz pierwszy spoczęły na ziemiach Kręgu. Na statku płynęło z nim kilka tuzinów najświetniejszych, wybranych przez niego osobiście mężczyzn, a za nimi tysiące najlepszych okrętów, jakimi dysponowało Imperium. Tworzyły sporą armadę, rozciągniętą na morzu pod banderą Imperium. Płynęli już długo, zataczając koło wokół Kręgu, by przybić do brzegu na ziemi McCloudów. Romulus zamierzał samotnie wkroczyć do Kręgu, zakraść się do swego dawnego przywódcy, Andronicusa, i zabić go, gdy będzie się tego najmniej spodziewał.

Uśmiechnął się na tę myśl. Andronicusowi ani się śniło, jak potężny i przebiegły jest jego zastępca, i przekona się o tym w wyjątkowo nieprzyjemny sposób. Nie powinien był go nigdy lekceważyć.

Morze toczyło ogromne fale obok statku i Romulus upajał się zimną mgiełką, która opadała na jego twarz. W dłoni ścisnął magiczną pelerynę, którą otrzymał w lesie. Przeczynał, iż zadziała i dzięki niej przebędzie Kanion. Wiedział, iż gdy ją przywdzieje, stanie się niewidzialny i będzie mógł przebić się przez Tarczę i w pojedynkę wkroczyć do Kręgu. Jego misja będzie wymagała ostrożności, przebiegłości i elementu zaskoczenia. Jego ludzie, rzecz rozumiała, nie mogli podążać za nim, lecz nie potrzebował ich: gdy znajdzie się już w Kręgu, odnajdzie żołnierzy Andronicusa – żołnierzy Imperium – i zgrupuje ich, by pomogli mu w jego sprawie. Podzieli ich i stworzy własną armię, wywoła wojnę domową. Wszak imperialni żołnierze kochali Romulusa z równą siłą, jak Andronicusa. Wykorzysta ludzi Andronicusa przeciw niemu samemu.

Wtedy Romulus znajdzie jakiegoś MacGila, przeprowadzi go przez Kanion, jak wymaga peleryna i – zakładając, iż legenda głosi prawdę – Tarcza zostanie zniszczona. Gdy Tarcza opadnie, wezwie swych ludzi i wszyscy przybyli z nim żołnierze wtargną na ziemie Kręgu i zmiażdżą go na dobre. Wtedy Romulus w końcu zostanie jedynym władcą świata.

Odetchnął głęboko. Nieomal czuł smak swego zwycięstwa. Całe życie walczył o tę chwilę.

Romulus podniósł wzrok na krwistoczerwone niebo. Drugie słońce, ogromna kula na widnokręgu, chyliło się już ku zachodowi, o tej porze dnia rzucając bladą, błękitną poświatę. O

też porze dnia Romulus modlił się do swych bogów, Boga Ziemi, Boga Morza, Boga Nieba i Boga Wiatru – i, nade wszystko, do Boga Wojny. Wiedział, iż musi udobruchać każdego z nich. Przygotował się: wioził ze sobą wielu niewolników, których zamierzał złożyć im w ofierze, wiedząc, iż krew, którą przeleje, zapewni mu moc.

Fale rozbijały się o burtę. Zbliżali się już do brzegu, lecz Romulus nie czekał, aż opuszczą liny – wyskoczył za burtę, gdy tylko kadłub dotknął ziemi. Wylądował dobre dwadzieścia stóp niżej, na nogach, po pas w wodzie. Nawet się nie wzdrygnął.

Niespiesznym, pewnym krokiem ruszył ku brzegowi, jak gdyby ten należał do niego, odciskając głębokie ślady w piasku. Jego ludzie opuścili liny i poczęli schodzić na brzeg, a kolejne imperialne okręty dobijały do ziem Kręgu.

Romulus przyjrzał się swemu dziełu i uśmiechnął. Zmierzchało już i dotarł do brzegu w odpowiednim momencie, by złożyć ofiarę. Wiedział, iż musi podziękować za to bogom.

Odwrócił się przodem do swych ludzi.

– OGIEŃ! – wykrzyknął.

Mężczyźni rozbiegli się spiesźnie, by wznieść ogromne ognisko, wysokie na piętnaście stóp. Przygotowali ogromną stertę drewna, pod którą później podłożą ogień. Miała kształt gwiazdy o trzech szpicach.

Romulus skinął głową i jego ludzie wyprowadzili naprzód tuzin skrępowanych razem niewolników. Przywiązano ich do drewna, zacieśniono sznury. Niewolnicy patrzyli na innych

oczyma szeroko otwartymi z przerażenia. Krzyczeli i szarpali się, przerażeni, widząc gotowe pochodnie i zdając sobie sprawę, iż za kilka chwil spłoną żywcem.

– NIE! – krzyknął jeden z nich. – Błagam! Nie, wszystko, tylko nie to!

Romulus nie zważał na nich. Miast tego odwrócił się tyłem do wszystkich, postąpił kilka kroków naprzód, rozpostarł szeroko ramiona i wyciągnął szyję ku niebiosom.

– OMARUSIE! – zawołał. – Obdarz nas światłem, byśmy przejrzeni! Przyjmij mą ofiarę. Bądź mym towarzyszem w wyprawie do Kręgu. Daj mi jakiś znak. Rzeknij, czy mi się powiedzie!

Romulus opuścił ręce, a wtedy jego ludzie pospieszyli naprzód i cisnęli pochodnie na drewno.

Rozległy się potworne krzyki, gdy niewolnicy płonęli żywcem. Iskry sypały się na wszystkie strony, a Romulus stał, przyglądając się widowisku. Płomienie rozświetlały jego twarz.

Romulus skinął głową i jego ludzie przyprowadzili do niego staruchę o jednym oku, pomarszczonej twarzy i wygiętym w pałąk ciele. Kilku mężczyzn przyciągnęło ją w rydwanie. Starucha pochyliła się w kierunku płomieni. Romulus obserwował ją, cierpliwie czekając na przepowiednię.

– Odniesiesz sukces – rzekła. – Chyba że ujrzysz, jak dwa słońca schodzą się w jedno.

Na twarzy Romulusa pojawił się szeroki uśmiech. Dwa słońca schodzą się w jedno? To nie zdarzyło się od tysiąca lat.

Nie posiadał się z radości, a w jego piersi zapłonęło uczucie ciepła. Tylko tyle chciał usłyszeć. Bogowie mu sprzyjali.

Romulus schwycił swą pelerynę, dosiadł konia i pogonił go mocnym kopniakiem. Wierzchowiec ruszył z miejsca galopem przez piasek, ku drodze prowadzącej do Wschodniego Przejścia, przez Kanion – a wkrótce do samego serca Kręgu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Selese szła przez pozostałości pola bitwy z Ileprą u boku. Chodziły od ciała do ciała, sprawdzając, czy ktoś przeżył. Droga z Silesii była długa i męcząca, i podczas niej Selese i Illepra dotrzymywały sobie towarzysztwa, podążając za trzonem armii i zajmując się rannymi i poległymi. Odłączyły się od pozostałych uzdrowicielek i zbliżyły do siebie, zacieśniając więź pośród trudności. W naturalny sposób zwróciły się ku sobie – były w podobnym wieku, jedna przypominała drugą i – co być może najistotniejsze – obie zakochane były w MacGilu. Selese kochała Reece’a, a Illepra, choć niechętnie to przyznawała, Godfrey’a.

Robiły, co w ich mocy, by dotrzymać kroku trzonowi armii, przekraczając pola, lasy i błotniste drogi, nieustannie rozglądając się w poszukiwaniu rannych żołnierzy MacGilów. Niestety znajdowanie ich nie należało do trudnych zadań; zaściełali ziemię gęsto. W niektórych przypadkach Selese była w stanie przywrócić ich do zdrowia; było jednak zbyt wiele przypadków, w których obie z Illeprą mogły jedynie opatrzyć ich rany, uśmierzyć ból swymi medykamentami i pozwolić odejść w spokoju.

Selese była zdruzgotana. Będąc uzdrowicielką w niewielkiej osadzie, przez całe życie nie zetknęła się z niczym tak ogromnym i poważnym. Zwykła opatrzywać niewielkie otarcia, przecięcia i rany, czasem forsyckie ukąszenie. Nie przywykła jednak do

tak ogromnego rozlewu krwi i śmierci, tak poważnych ran i tylu rannych. Do głębi ją to martwiło.

Zostając uzdrowicielką, Selese pragnęła uzdrawiać ludzi i widzieć ich w dobrym zdrowiu; jednakże odkąd opuściła Silesię nie widziała nic poza niekończącym się szlakiem krwi. Jak ludzie mogli wyrządzać sobie wzajemnie coś tak okropnego? Ci ranni byli czyimiś synami, ojcami i mężami. Jak ludzkość mogła być dla siebie tak okrutna?

Selese dręczyła jeszcze bardziej niemożność niesienia pomocy każdemu, kogo napotkała. Jej zaopatrzenie ograniczało się do tego, co była w stanie unieść, a zważywszy na to, jak długa była ich droga, nie było tego wcale wiele. Pozostałe uzdrowicielki rozpiezchły się po całym Kręgu; były armią same w sobie, lecz zbyt daleko rozciągniętą, o zbyt niewielkich zapasach. Bez odpowiednich wozów, koni i pomocników, Selese nie była w stanie nieść ze sobą zbyt wielu lekarstw.

Selese zamknęła oczy i oddychając głęboko, szła dalej. Twarze rannych przesuwaly się jej przed oczyma. Zbyt wiele razy pielęgnowała śmiertelnie rannego żołnierza krzyczącego w męczarniach, patrzyła, jak oczy jego zachodzą mgłą i podawała mu blatoks. Skutecznie uśmierzał ból i skutecznie koł nerwy, lecz nie goił jęczącej się rany ani nie zapobiegał zakażeniu. Bez wszystkich swych specyfików tylko tyle mogła zaradzić. Nachodziła ją ochota, by jednocześnie płakać i krzyczeć.

Selese i Illepra przyklękły przy dwóch rannych żołnierzach w odległości kilku stóp od siebie. Każda z nich zajęta była

zaszywaniem rany igłą i nicią. Selese była zmuszona używać tej igły już wiele razy i żałowała, iż nie ma przy sobie czystej. Nie miała jednakże wyboru. Żołnierz krzyczał z bólu, gdy zszywała podłużną ranę wzdłuż jego ramienia, która otwierała się wciąż na nowo, i z której ciągle wyciekała krew. Selese docisnęła ją dłonią, starając się ją zatamować.

Była to jednakże płonna walka. Gdyby tylko dotarła do tego żołnierza dzień wcześniej, wszystko byłoby w porządku. Lecz teraz jego ręka miała zieloną barwę. Selese odwlekała to, co nieuniknione.

– Wszystko będzie dobrze – rzekła, pochylając się nad nim.

– Nieprawda – odrzekł, spoglądając na nią. W jego oczach czaiła się śmierć. Selese zbyt wiele razy widziała już to spojrzenie. – Rzeknij. Czy umrę?

Selese wzięła głęboki oddech i długo nie wypuszczała powietrza. Nie wiedziała, co odrzec. Nie cierpiała nieszczerości. Lecz nie była w stanie wyjawić mu prawdy.

– Nasze losy spoczywają w rękach naszych stwórców – rzekła. – Nigdy nie jest zbyt późno dla żadnego z nas. Pij – rzekła, wydając niewielką fiolkę blatoksu z przytroczonej do pasa sakwy z eliksirami. Przyłożyła mu ją do ust i odgarnęła kosmyki z jego czoła.

Mężczyzna wywrócił oczyma i westchnął, po raz pierwszy odczuwając spokój.

– Czuję się dobrze – rzekł.

Po kilku chwilach jego oczy się zamknęły.

Selese poczuła, jak po policzku spływa jej łza. Otarła ją szybko dłonią.

Illepra skończyła zajmować się rannym, przy którym klęczała, i obie podniosły się, znużone, i ruszyły dalej zdającym się nie mieć końca szlakiem, mijając kolejne trupy. Zmierzały wciąż dalej na wschód, podążając za trzonem armii.

– Czy nasza pomoc w ogóle coś zmienia? – spytała w końcu Selese po długiej ciszy.

– Oczywiście, że tak – odrzekła Illepra.

– Nie wydaje mi się, by tak było – powiedziała Selese. – Ocaliliśmy tak niewielu, a tylu straciło życie.

– A ci, których ocaliliśmy – odparła Illepra. – Czyż oni nie są nic warci?

Selese zamyśliła się.

– Oczywiście, że są – rzekła. – Lecz co z innymi?

Selese przymknęła powieki i spróbowała przywołać ich w pamięci; teraz jednakże były to tylko niewyraźne twarze.

Illepra potrząsnęła głową.

– Nie tak winnaś o tym myśleć. Jesteś marzycielką, zbyt naiwną. Nie da się ocalić wszystkich. Nie my rozpoczęliśmy tę wojnę. My jedynie zbieramy to, co po niej pozostało.

Szły w milczeniu, wędrując coraz dalej na wschód, przez pola wypełnione ciałami. Selese cieszyło przynajmniej jedno: towarzystwo Illepry. Dotrzymywały sobie wzajemnie towarzystwa, niosły sobie pociechę i dzieliły się wiedzą i lekarstwami w drodze. Selese była zdumiona szerokim wyborem

ziół Illepry, takich, których nigdy wcześniej nie widziała; Illeprę z kolei ciągle zaskakiwały unikatowe maści, które Selese przygotowywała w swej wiosce. Doskonale się dopełniały.

Szły dalej, od jednego ciała do kolejnego, a myśli Selese skierowały się ku Reece'owi. Mimo wszystkiego, co ją otaczało, nie potrafiła przestać o nim myśleć. Odbyla długą drogę do Silesii jedynie po to, by go odnaleźć, by być z nim. Jednakże los rozdzielił ich zbyt szybko, ta wstrętna wojna pchnęła ich w przeciwnych kierunkach. W każdej chwili zastanawiała się, czy Reece jest bezpieczny. Zastanawiała się, gdzie dokładnie się znajduje. A przy każdym trupie, którego mijała, rzucała szybkie, przerażone spojrzenie na twarz, modląc się, by nie był to Reece. Ścisnęła ją w dołku przy każdym ciele, do którego podchodziła, dopóki go nie przewróciła, nie ujrzała twarzy i nie przekonała się, iż to nie on. Za każdym razem oddychała z ulgą.

Jednak z każdym krokiem dręczył ją niepokój, lękała się nieustannie, iż dostrzeże go wśród rannych – albo, co gorsza, wśród martwych. Nie wiedziała, czy mogłaby żyć dalej, gdyby tak się zdarzyło.

Postanowiła go odnaleźć, żywego czy martwego. Odbyla niezwykle daleką wędrówkę i nie zamierzała zawrócić, nim nie dowie się, co się z nim stało.

– Nie widziałam ani śladu Godfrey'a – rzekła Illepra, kopiąc leżące na jej drodze kamienie.

Illepra mówiła o Godfreyu od czasu do czasu odkąd opuścili Silesię i było oczywiste, iż się w nim zadurzyła.

– Ani ja – powiedziała Selese.

Ich rozmowy nieustannie tak wyglądały, obie były zauroczone dwoma braćmi – Reece’em i Godfreyem – którzy nie mogliby się bardziej od siebie różnić. Selese nie pojmowała, co też Illepra widziała w Godfreyu. Zdawał się jej być jedynie pijackiem, wesołkiem, którego nie należało brać na poważnie. Był wesoły i zabawny, i z pewnością bystry. Nie był jednak mężczyzną, jakiego pragnęła Selese. Selese pragnęła mężczyzny prawdomównego, poważnego, pełnego pasji. Pragnęła mężczyzny, który był uosobieniem męstwa, honoru. Reece był tym, którego szukała.

– Po prostu nie pojmuję, jak mógłby przetrwać coś takiego – rzekła ze smutkiem Illepra.

– Kochasz go, prawda? – spytała Selese.

Illepra spłoniła się i odwróciła.

– Ani słowa nie rzekłam o miłości – rzekła, broniąc się. – Po prostu martwię się o niego. Jest mi przyjacielem.

Selese uśmiechnęła się.

– Ach tak? Dlaczego zatem nie przestajesz o nim mówić?

– Nie przestaję? – spytała zaskoczona Illepra. – Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– Owszem, bez ustanku.

Illepra wzruszyła ramionami i zamilkła.

– Przypuszczam, iż coś mnie do niego przyciąga. Są chwile, w których doprowadza mnie do szaleństwa. Nieustannie wyciągam go z karczm. Za każdym razem przyrzeka mi, iż tam nie powróci.

Lecz zawsze powraca. Jak słowo daję, doprowadza mnie do szału. Spuściłabym mu lanie, gdybym mogła.

– To dlatego tak niecierpliwie próbujesz go odnaleźć? – spytała Selese. – Żeby spuścić mu lanie?

Tym razem to Illepra się uśmiechnęła.

– Sądzę, że nie – rzekła. – Być może chcę także go uściskać.

Obeszły wzniesienie i natknęły się na silesiańskiego żołnierza. Leżał pod drzewem, jęcząc. Miał złamaną nogę. Selese, rzuciwszy na niego doświadczonego okiem, potrafiła dostrzec to z daleka. Nieopodal, przywiązane do drzewa były dwa rumaki.

Selese i Illepra pospieszyły do niego.

Gdy Selese poczęła opatrywać jego ranę, głębokie rozcięcie w udzie, nie mogła się powstrzymać przed zadaniem pytania, które zadawała każdemu napotkanemu żołnierzowi:

– Czy widziałeś któregoś z członków rodziny królewskiej? – spytała. – Widziałeś Reece’a?

Wszyscy, których pytała do tej pory, odwracali się i kręcili głową, nie patrząc na nią, i Selese tak przywykła do rozczarowania, iż spodziewała się przeczącej odpowiedzi.

Lecz ku jej zdumieniu żołnierz skinął głową.

– Nie jechałem z jego ludźmi, pani, lecz owszem, widziałem go.

Oczy Selese błysnęły podnieceniem i nadzieją.

– Żyje? Jest ranny? Wiesz, gdzie jest? – spytała, zaciskając dłoń na nadgarstku mężczyzny. Jej serce biło coraz szybciej.

Skinął głową.

- Owszem. Wyruszył na specjalną misję. By odzyskać Miecz.
- Jaki miecz?
- Jaki? Miecz Przeznaczenia.

Wpatrywała się w niego z podziwem. Miecz Przeznaczenia. Miecz, o którym mówią legendy.

- Gdzie? – spytała rozpaczliwym tonem. – Gdzie on jest?
- Wyruszył ku Wschodniemu Przejściu.

Wschodnie Przejście, pomyślała Selese. Leżało ono hen, daleko stąd. Nie ma możliwości, by dotarły tam pieszo. Nie w tym tempie. A jeśli Reece tam jest, z pewnością znajduje się w niebezpieczeństwie. Z pewnością jej potrzebuje.

Gdy skończyła opatrywać żołnierza, rozejrzała się i spostrzegła dwa wierzchowce przywiązane do drzewa. Zważywszy na złamaną nogę mężczyzny, nie będzie na nich już jeździł. Te dwa rumaki będą dla niego bezużyteczne. A wkrótce zdechną, jeśli ktoś się nimi nie zajmie.

Żołnierz spostrzegł, iż Selese patrzy na zwierzęta.

- Weźcie je, pani – zaproponował. – Mnie się nie przydadzą.
- Lecz to twoje zwierzęta – rzekła.
- Nie mogę ich dosiadać. Nie w takim stanie. Wam się przydadzą. Zabierz je i odnajdź Reece’a. Stąd to długa droga, nie dotrzesz tam pieszo. Ogromnie mi pomogłaś. Nie zgine tu. Wody i jadła starczy mi na trzy dni. Odnajdą mnie. Patrole nieustannie tu krążą. Weź je i jedź.

Selese schwyciła go za przegub dłoni, przepełniona wdzięcznością. Odwróciła się do Illepry, podjąwszy decyzję.

– Muszę wyruszyć i odnaleźć Reece’a. Wybacz. Są tutaj dwa rumaki. Weź drugiego, dokądkolwiek zamierzasz się udać. Muszę przemierzyć Krąg, dotrzeć do Wschodniego Przejścia. Wybacz, lecz muszę cię opuścić.

Selese dosiadła konia i ze zdumieniem spostrzegła, iż Illepra spieszy naprzód i wsiada na grzbiet drugiego zwierzęcia. Illepra pochyliła się i swym krótkim mieczem odcięła sznury, którymi zwierzęta przywiązane były do drzewa.

Odwróciła się do Selese i uśmiechnęła.

– Naprawdę sądziłaś, iż po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, pozwolę, byś jechała sama?

Selese uśmiechnęła się.

– Raczej nie – odrzekła.

Kopniakiem pogoniły konie i wyruszyły, pędząc drogą na wschód, w kierunku – modliła się Selese – Reece’a.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gwendolyn skuliła się, przyciskając podbródek do piersi, chroniąc się przed wiatrem i śniegiem. Przemierzała niemające końca pola bieli z Alistair, Steffenem i Abertholem u boku oraz Krohnem przy nodze. Maszerowali od wielu już godzin, odkąd przekroczyli Kanion i wkroczyli do Nibyświata. Gwen była wykończona, bolały ją mięśnie i brzuch. Od czasu do czasu przeszywał ją ostry ból, gdy dziecko w jej łonie poruszało się. Znajdowała się w świecie bieli, w którym śnieg spadał z niesłabnącą siłą, wciskając się do oczu, a to, co dostrzegali na widnokręgu, nie niosło pocieszenia. Nic nie zakłócało monotonii krajobrazu; Gwen miała wrażenie, iż zmierza ku samym krańcom świata.

Oziębiło się i mimo futra, które miała na sobie, Gwen czuła zagnieżdżający się w jej kościach chłód. Dłonie już jej skostniały.

Spojrzała na bok i spostrzegła, iż pozostali także drżą, walcząc z zimnem. Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła ogromnego błędu, zapuszczając się tutaj. Nawet jeśli Argon tu jest, jak odnajdą go bez żadnych oznaczeń na widnokręgu? Nie prowadził tędy żaden szlak, żadna ścieżyna i rozpacz narastała w Gwen coraz bardziej, gdyż nie miała pojęcia, dokąd zmierzają. Wiedziała jedynie, iż oddalają się od Kanionu i podążają coraz dalej na północ. Nawet jeśli odnajdą Argona, jakim sposobem

mieliby go uwolnić? Czy w ogóle można tego dokonać?

Gwen czuła, iż zapuściła się w miejsce, w którym żaden człowiek winien nigdy nie postawić stopy, nadprzyrodzone miejsce przeznaczone dla czarnoksiężników, druidów i tajemniczych sił magii, których nie pojmowała. Miała wrażenie, iż wkroczyła w niedozwolone miejsce.

Gwen poczuła kolejne przeszywające uderzenie bólu, gdy dziecko obracało się raz po raz. Tym razem ból był tak silny, iż niemal nie mogła oddychać i lekko się zatoczyła.

Pomocna dłoń schwyciła jej nadgarstek i pomogła utrzymać równowagę.

– Pani, czy wszystko dobrze? – spytał Steffen, stając szybko u jej boku.

Gwen zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i skinęła głową w odpowiedzi. Oczy zaszyły jej łzami z bólu. Zatrzymała się na chwilę, położyła dłoń na brzuchu i czekała. Jej dziecko z pewnością nie radowało się, iż znalazło się w tej krainie. Podobnie jak Gwen.

Stała w bezruchu kilka chwil, oddychając głęboko, aż w końcu ból ustąpił. Po raz kolejny zastanowiła się, czy niesłusznie postąpiła, zapuszczając się tutaj; lecz pomyślała o Thorze i jej pragnienie ocalenia go przysłoniło wszystkie inne.

Ruszyli w dalszą wędrówkę, a gdy ból ustąpił, Gwendolyn lękała się nie tylko o swe dziecko, lecz także o pozostałych. Nie wiedziała, jak długo wytrwają w tych warunkach; nie wiedziała nawet, czy mogą jeszcze w ogóle zawrócić. Utknęli tu, na

nieznanych, bezkresnych ziemiach, bez żadnych drogowskazów.

Niebo zabarwione było fioletowym światłem, które rzucał na wszystko bursztynowo-fioletową poświatę. Gwen czuła się przez to tylko bardziej zdezorientowana. Nie było tu ani dnia, ani nocy. Jedynie niekończący się marsz w nicość.

Aberthol się nie mylił: w istocie był to inny świat, otchłań śniegu i pustki, najbardziej opuszczone miejsce, jakie kiedykolwiek widziała.

Gwendolyn przystanęła na chwilę, by złapać oddech, a wtedy poczuła ciepłą, niosącą ukojenie dłoń na swym brzuchu. Zaskoczyło ją to ciepło.

Odwróciła się i ujrzała Alistair, stojącą obok i przyglądającą się jej z troską.

– Nosisz w sobie dziecko – rzekła. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Gwendolyn spojrzała na nią, zaskoczona, iż Alistair to wiedziała, tym bardziej, że jej brzuch nadal był płaski. Nie miała jednak już siły trzymać tego dłużej w tajemnicy. Przytaknęła.

Alistair skinęła w odpowiedzi głową.

– Skąd wiedziałaś? – spytała Gwen.

Lecz Alistair jedynie przymknęła powieki i wzięła głęboki oddech, trzymając dłoń na brzuchu Gwen. Gwen koło to uczucie i czuła, jak w jej ciele rozchodzi się uzdrawiające ciepło.

– To potężne dziecko – rzekła Alistair, nie otwierając oczu. – Lęka się. Lecz jest zdrow. Wszystko będzie w porządku. Rozpędzam teraz jego lęki.

Gwendolyn czuła, jak przepływają przez nią fale światła i ciepła. Wkrótce poczuła, że w pełni odzyskuje siły. Gwen ogarnęła wdzięczność i miłość do Alistair; w niewytłumaczalny sposób czuła się jej bliska.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – rzekła Gwendolyn, prostując się, czując na powrót niemal jak uprzednio. Alistair cofnęła dłoń i opuściła skromnie głowę.

– Nie masz mi za co dziękować – odrzekła. – Tym się zajmuję.

– Nie rzekłaś ani słowem, że jesteś przy nadziei, pani – rzekł surowo Aberthol. – Gdybym o tym wiedział, nigdy nie poparłbym tej wyprawy.

– Pani, nie miałem pojęcia – powiedział Steffen.

Gwendolyn, nieco przesadna, wzruszyła ramionami, nie chcąc, by tyle uwagi poświęcano jej dziecku.

– A kto jest ojcem? – spytał Aberthol.

Gwen towarzyszyły mieszanie odczucia, gdy wyrzekła słowo: – Thorgrin.

Gwen była rozdarta. Ogarniało ją poczucie winy za to, co uczyniła Thorowi, za to, w jaki sposób się rozstali; nie wiedziała także, co sądzić o pochodzeniu dziecka. Przywołała w pamięci twarz Andronicusa i przeszedł ją dreszcz.

Aberthol skinął głową.

– Doskonałe pochodzenie – rzekł. – Nosisz w sobie wojownika.

– Pani, oddałbym życie, by chronić twoje dziecko – powiedział Steffen.

Krohn podszedł do niej, przysunął łeb do jej brzucha i polizał go kilkakrotnie, skomląc.

Gwen poruszyła ich dobroć i wsparcie.

Nagle Krohn odwrócił się i zaskoczył ich, warcząc zajadle. Postąpił kilka kroków naprzód w oślepiająco biały śnieg, zjeżywszy sierść na grzbiecie. Spoglądał w śnieg, nie zważając na nich.

Gwen i pozostali spojrzeli po sobie, zaintrygowani. Gwen spojrzała uważnie w śnieg, lecz nic nie dostrzegła. Nigdy wcześniej nie słyszała, by Krohn warczał w taki sposób.

– Co tam jest, Krohn? – spytała nerwowo.

Krohn nie przestawał warczeć, posuwając się z wolna do przodu, cal za calem. Gwen, zdenerwowana, opuściła dłoń na zatknięty u pasa sztylet. Pozostali także położyli dłonie na swej broni.

Czekali, patrząc.

W końcu z oślepiająco białego śniegu wyłonił się tuzin jakichś stworzeń. Były przerażające, całkowicie białe, o dużych, żółtych ślepiach i czterech długich, żółtych kłach, większych niż wilcze. Stwory były większe niż Krohn, a każdy z nich miał dwa łby o długich kłach, wystających niemal na stopę. Wydawały z siebie przeciągły, niski, wściekły dźwięk, zbliżając się do nich w szerokim półkolu.

– Lorki – rzekł trwożnie Aberthol, cofając się.

Gwendolyn usłyszała charakterystyczny świst metalu, gdy Steffen dobywał swego miecza. Aberthol wyciągnął przed siebie

swą łaskę i trzymał ją w dwu dłoniach, a Alistair jedynie stała, wpatrując się w nie intensywnie. Gwendolyn zacisnęła mocno dłoń na sztylcie, gotowa oddać życie w obronie swego dziecka.

Krohn nie tracił czasu: warcząc, rzucił się naprzód i zainicjował atak. Przyskoczył i zatopił kły w gardle lorka i choć stwór był większy, Krohn był zdeterminowany i przycisnął go do ziemi, cały czas warcząc. Odgłosy towarzyszące ich walce były przeraźliwe, gdy przetaczali się po ziemi. Wkrótce śnieg zabarwił się na czerwono, a Gwen z ulgą spostrzegła, iż była to krew lorka. Krohn zwycięsko przyszpilił stwora do ziemi.

Pozostałe lorki ruszyły do walki. Dwa z nich skoczyły na Krohna, a reszta rzuciła się prosto na Gwendolyn i pozostałych.

Steffen przyskoczył naprzód, opuszczając miecz na lorka, który zmierzał w stronę Gwendolyn, i zdołał odciąć jeden z jego dwóch łbów. Odślonił się jednak tym samym na atak i inny lork rzucił się na niego, i zatopił swe długie kły w jego ramieniu. Steffen krzyknął, a krew trysnęła dokoła. Stwór przycisnął go do ziemi.

Gwendolyn rzuciła się naprzód i dźgnęła lorka w grzbiet sztyletem. Stwór wygiął się w pałak i pisnął. Jedna szczeka zatopiona była nadal w ramieniu Steffena, lecz drugi łeb lorka odwrócił się i kłapnął na Gwen. Stwór wygiął grzbiet wystarczająco mocno, by Steffen mógł się spod niego wydostać i gdy Gwen wycofała się, trzymając sztylet w wyciągniętych, drżących dłoniach, Steffen chwycił swój miecz i pozbawił stwora obu łbów.

Jeden z lorków obrał Alistair za cel i rzucił się naprzód; skoczył wysoko z zamiarem zatopienia swych kłów w jej gardle.

Alistair stała jednak spokojnie na miejscu, niewzruszona, i uniosła przed siebie jedną dłoń; dobyło się z niej żółte światło. Jego strumień przeciął powietrze i uderzył lorka w pierś. Alistair przesunęła dłoń i stwór zawisł w powietrzu, jak gdyby zastygł.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.